Verlagsort Allenstein

GAZETA OLSZTYŃSKA

„Gazeta Olsztyńska" z dodatkami „Gość Niedzielny" i „Gospodarz" wychodzi codziennie z wyjątkiem świąt. Abonament miesięczny na pocztach 1.30 marek, z odnoszeniem 1.66 marek. Do Polski 4.00 złote. Wpłacić należy na konto nasze P. K. O. Warszawa numer 194 159.

**Ojców mowy, ojców wiary
Brońmy zgodnie: młody, stary!**

**Niech będzie pochwalony
Jezus Chrystus!**

Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 5 fenigów za 1-milimetrowy wiersz sześciołamowy. Wiersz reklamowy 15 fenigów. — Redakcja i administracja: **Allenstein Ostpr., Mühlenstr. 2.** Telefon nr. 2531. Pocztowe konto czekowe: Königsberg 2364. Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok 52 **Allenstein (Olsztyn), na sobotę 22 stycznia 1938** **Nr. 17**

Czerwony parlament przy pracy

Kilka dni już obraduje w Moskwie czerwony parlament, wybrany na podstawie stalinowskiej konstytucji. Obrady obydwu izb sowieckich obfitowały w szereg epizodów, na podstawie których można już wyrobić sobie pojęcie o metodach, jak również o treści pracy tego parlamentu.

Dwie sprawy, znajdujące się na porządku dziennym w pierwszych dniach obrad najwyższej rady ZSSR przyciągały powszechną uwagę: wybór prezydenta najwyższej rady ZSSR, oraz ustalenie wynagrodzenia dla 1143 członków najwyższej rady. Obydwie te sprawy miały znaczenie zasadnicze, kursowały bowiem pogłoski, że prezydentem rady najwyższej, który jednocześnie pełni funkcje głowy państwa sowieckiego, będzie wybrany generalny sekretarz wszechzwiązkowej partii komunistycznej — Stalin. Łączono tę wersję ze zmianami ustrojowymi w państwie sowieckim oraz z ukończeniem okresu przygotowań wojennych. Wybory odbyły się na połączonym posiedzeniu obydwu izb sowieckich, stanowiących radę najwyższą („wierchowny sowiet"). Wybrany został jednakowoż nie Stalin, a dotychczasowy przewodniczący CIK'a — Kalinin, a Stalin wszedł jedynie do składu prezydium rady najwyższej. Stało się to dlatego, że wybór Stalina na stanowisko prezydenta rady najwyższej tymsamym osłabiłby rolę Politbiura, którego faktycznym przewodniczącym jest Stalin i które decyduje o wszystkich najważniejszych sprawach państwowych. Wybór Kalinina i pozostanie Stalina na dawnym stanowisku sekretarza generalnego wszechzwiązkowej partii komunistycznej zamanifestowały przed światem, iż pomimo reform ustrojowych i wprowadzenia nowej konstytucji, decydującym czynnikiem w państwie nadal pozostaje partia komunistyczna i jej naczelny organ — Politbiuro ze Stalinem na czele. Jeśli się zważy, że Stalin jest nie tylko generalnym sekretarzem partii komunistycznej i członkiem prezydium parlamentu sowieckiego, lecz również należy do prezydium Kominternu, stanie się jasnym, że w strukturze państwa sowieckiego nie zaszły żadnę istotne zmiany i że czynnikiem nadrzędnym i decydującym pozostaje nadal kierowniczy organ komunizmu w osobie Stalina oraz, że państwo sowieckie jest nadal, może jeszcze w większym stopniu, punktem wyjściowym rewolucji światowej.

Drugą sprawą zasadniczą, którą załatwił parlament sowiecki w ostatnich dniach i która nie pozbawiona jest znaczenia zasadniczego — jest sprawa wynagrodzenia dla członków rady najwyższej oraz dla obydwóch przewodniczących rady związku i rady narodowości. Parlament sowiecki uchwalił, iż każdy członek parlamentu sowieckiego otrzymywać będzie stałą pensję w wysokości tysiąca rubli miesięcznie oraz specjalny dodatek (dyety) 150 rubli za każde posiedzenie. W ten sposób proletariacki parlament wyznaczył dość wysokie pobory swym członkom, pobory znacznie wyższe niż w parlamentach państw „burżuazyjnych". Obydwaj przewodniczący otrzymują po 300 tysięcy rubli rocznie. Jest to prawdziwy rekord, jeśli chodzi o wynagrodzenie przewodniczących izb ustawodawczych w całym świecie. W żadnym bowiem państwie przewodniczący parlamentu nie otrzymuje tak wysokiego wynagrodzenia. Widzimy więc, że zasady proletariackie, o których tak dużo mówią przewódcy komunizmu nie bardzo są przestrzegane w państwie Stalina. Jeśli chodzi o wynagrodzenie członków parlamentu sowieckiego i jego przewodniczących, to jest to najbardziej burżuazyjny parlament na kuli ziemskiej.

Dzień Polaków zagranicznych

Cała Polska, jak długa i szeroka, obchodzi i w tym roku uroczyście „Dzień Polaka zagranicą. Światowy Związek Polaków donosi, że

w kościołach odprawione zostaną nabożeństwa na naszą intencję.

Podobnie, jak i w roku ubiegłym, duchowieństwo rzymsko-katolickie całej Polski weźmie czynny udział w obchodach „Dnia Polaka z Zagranicy". Protektorat nad akcją zbiórki na Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą i „Dniem Polaka z Zagranicy" wraz z Panem Prezydentem Rzeczypospolitej i Marszałkiem Śmigłym-Rydzem objął również Jego Eminencja Prymas Polski — ks. Kardynał dr. August Hlond.

W niedzielę, dnia 30 stycznia, z okazji obchodu „Dnia Polaka z Zagranicy", w kościołach katolickich całej Polski zostaną odprawione nabożeństwa na intencję Polonii Zagranicznej, oraz wygłoszone okolicznościowe kazania, poświęcone naszym rodakom, zamieszkałym poza granicami Rzeczypospolitej.

W nabożeństwach tych wezmą udział przedstawiciele władz państwowych, samorządowych, wojska, organizacyj społecznych i stowarzyszeń z pocztami sztandarowymi, młodzieży szkolnej, akademickiej itd.

Na terenie stolicy Polski uroczyste nabożeństwo odbędzie się w „Dniu Polaka z Zagranicy" w kościele Świętego Krzyża. Mszę pontyfikalną odprawi J. E. biskup polowy Wojsk Polskich ks. Józef Gawlina. Podczas nabożeństwa szereg pieśni religijnych wykona Chór Kościoła św. Krzyża. Zarówno nabożeństwo, jak i okolicznościowe kazanie, poświęcone Polonii Zagranicznej, będzie transmitowane przez Centralną Rozgłośnię Polskiego Radia na wszystkie rozgłośnie prowincjonalne w całej Polsce.

Na uroczystym nabożeństwie w kościele św. Krzyża w Warszawie przewidywana jest obecność najwyższych dostojników państwowych.

Międzynarodowa akcja pokojowa na rzecz Chin?

Londyn. „Manchester Guardian" donosi, że w Londynie ma się odbyć konferencja, zorganizowana przez Międzynarodową Kampanię Pokojową, podczas której będą omówione metody dla udzielenia dyplomatycznej pomocy Chinom. Gdyby środki te miały nie doprowadzić do pożądanego celu, konferencja obmyśli także sposoby bojkotu Japonii.

Prezesurę narad obejmą lord Robert Cecil oraz francuski minister Pierre Cot. Udział w naradach wezmą liczni wybitni politycy, m. in. min. Herriot.

Na zlecenie Międzynarodowej Kampanii Pokojowej odbędzie mr. M. Arnold-Forster podróż dyplomatyczną do Francji, Belgii, Holandii, Norwegii, Szwecji i Danii w celu omówienia spraw, związanych z programem narad londyńskich, z przywódcami politycznymi rozmaitych organizacyj pracy, oraz z przewodniczącymi filij Ligi Pokoju i Przyjaciół Ligi Narodów.

Ameryka nie zastosuje ustawy i neutralności.

Waszyngton. Z kół politycznych informują, że rząd amerykański nie uzna faktu odwołania ambasadora japońskiego z Chin za pretekst do rozciągnięcia ustawy o neutralności na konflikt wschodnio-azjatyski.

Kto dostarcza broni Chinom?

Tokio. Japoński dziennik „Asahi Szimbun" podaje wiadomość swego korespondenta z Hong-Kong następującej sensacyjnej treści:

„Wśród 18 okrętów, które w okresie od 25 grudnia ub. r. do 15 stycznia br. dostarczyły Chinom materiału wojennego, było: 7 okrętów angielskich, 3 włoskie, 2 niemieckie, 2 amerykańskie, 2 norweskie, 1 duński, 1 holenderski.

Z pośród 14 samolotów dostarczonych Chinom, 5 pochodziło z Anglii, a 9 ze Stanów Zjednoczonych. 1800 tonn amunicji pochodziło z Włoch, 800 z Wielkiej Brytanii, 620 z Niemiec, 450 ze Stanów Zjednoczonych, 400 z Danii, 200 z Holandii, a 100 z Norwegii."

Moskwa skoncentrowała 150 000 żołnierzy w Mongolii zewnętrznej.

Moskwa. Wedle wiadomości, jakie nadeszły, do Ułanbator, stolicy Mongolii zewnętrznej, nadeszły ostatnie transporty wojskowe sowieckie, wchodzące w skład 71 dywizji. Dywizja ta przerzucona została z zachodnio syberyjskiego okręgu wojennego, celem wzmocnienia 23 korpusu sowieckiego w Ułanbator.

W ten sposób siły sowieckie w Mongolii zewnętrznej skoncentrowane w ostatnim czasie wynoszą 70 000 ludzi, do których należy doliczyć 80 tysięcy oddziałów mongolskich, co w sumie stanowi armię, liczącą 150 000 żołnierzy.

Władze sowieckie dokonywują w gorączkowem tempie przegrupowania poszczególnych armij w Mongolii zewnętrznej. Do Mongolii zewnętrznej wysłano również specjalne czołgi, przystosowane do terenów pustynnych.

Potężna sieć organizacji komunistycznej we Francji

Paryż. Według statystycznych danych francuskiej partii komunistycznej liczy ona obecnie na terenie Francji 12 992 kół, 976 sekcji i 71 zarządów regionalnych.

Najbardziej skomunizowany jest t. zw. okręg paryski, gdzie na terenie departamentów Sekwany, Seine-et-Oise i Seine-et-Marne znajduje się 4016 organizacji komunistycznych. W samym mieście Paryżu partia komunistyczna posiada 1415 kół.

Środki propagandy komunistycznej są niezwykle zasobne i potężne. Nakład głównego organu partii komunistycznej „L'Humanité" wynosi niejednokrotnie z górą 2 000 000 egzemplarzy. Pozatem organizacje komunistyczne rozporządzają na terenie Francji i kolonii 71 pismami lokalnymi. Niektóre z tych pism mają dość poważny nakład, jak np. „L'Enchainé" — 30 000 egzemplarzy, „Rouge-Midi" — 24 000, „La Voix du Peuple" — 19 000 itp.

Przyjazne stosunki z Sowietami i całkowita swoboda dla akcji bolszewickiej kosztują Francję już dziś b. drogo, a w przyszłości mają ją narazić na poważne niebezpieczeństwa i wstrząsy wewnętrzne. Utworzenie t. zw. „frontu ludowego" z komunistami uzależniło w dużym stopniu rząd francuski od ich stanowiska w sprawach państwowych, a jedność organizacyjna związków zawodowych socjalistycznych z komunistycznymi pozwoliła opanować związki komunistom, co widać w coraz to nowej fali strajkowej.



Oficerowie niemieccy gośćmi armii polskiej.

Delegacja oficerów niemieckich pod kierownictwem komendanta niemieckiej akademii wojennej, generała Liebmanna, bawi jak już donosiliśmy w Polsce. Oficerowie niemieccy biorą udział w ćwiczeniach wojska polskiego.

Chcą utrzymać stosunki przyjazne

Gdańsk. „Der Danziger Vorposten" donosi, że p. Forster wygłosił na zjeździe instruktorów partyjnych w Sonthofen przemówienie, w którym stwierdził, że Gdańsk uważać należy za jeden z czynników na którym opierają się porozumienie Polski i Niemiec, oraz przyjazne stosunki między tymi państwami. P. Forster podkreślił bezwzględną wolę Niemiec utrzymania pod każdym względem stosunków przyjaznych z Polską oraz wyeliminowania i unikania wszystkiego co mogłoby je zakłócić.

Ambasador japoński opuszcza Chiny

Londyn. W uzupełnieniu wiadomości o mającym nastąpić zerwaniu stosunków dyplomatycznych między Japonią a Chinami nadchodzą wiadomości z Szanghaju, iż dotychczasowy ambasador japoński w Chinach. Kawaque miał oświadczyć, że od swego rządu otrzymał polecenie opuszczenia Chin.

Odtąd dyplomaci japońscy, akredytowani będą przy nowym rządzie chińskim w Pekinie, który będzie przez Japonię uznany w przeciwieństwie do rządu Czang-Kai-Szeka.

Dyplomaci chińscy w Japonii będą mogli reprezentować tylko taki rząd chiński, który będzie współpracował z Japonią.

Mimo zerwania stosunków dyplomatycznych Japonia jednak formalnie nie wypowie jeszcze wojny Chinom marszałka Czang-Kai-Szeka. Na to stanowisko Japonii wpłynąć miały kilkakrotnie interwencje ambasadora W. Brytanii w Tokio.

Wysłannik rządu japońskiego u Ojca św.

Japonia gwarantuje pełną wolność misjom katolickim w Chinach.

Rzym. Admirał japoński Singiro Jamamoto został przyjęty przez kardynała Pacelliego. Admirał oświadczył korespondentowi Havasa, że podróż jego do Włoch była nieoficjalna, że jednak skorzystał ze swego pobytu w Rzymie, aby przedstawić stolicy apostolskiej położenie katolików w Japonii. — „Przywiozłem — oświadczył admirał — Stolicy Apostolskiej zapewnienie, że Japonia udzielała nadal i będzie udzielała na okupowanych przez siebie terytoriach pełnej wolności misjom w ich działalności."

Data audiencji, którą papież udzieli admirałowi, nie została jeszcze ustalona. Admirał będzie przyjęty również przez Mussoliniego, a może i przez króla. Po miesięcznym pobycie w Rzymie Jamamoto uda się do Francji.

Bombardowanie Barcelony i Walencji

Barcelona. Komunikat ministerstwa obrony narodowej donosi: 6 nieprzyjacielskich samolotów, pochodzących z Palmy na Majorce zrzuciło na centrum Barcelony znaczną ilość ciężkich bomb. Dokładna liczba zabitych jest dotychczas nieznana, **wynosi ona jednak przeszło 100 osób.** Prócz tego wyrządziły bomby znaczne straty materialne. Chociaż baterie przeciwlotnicze utrzymywały bez przerwy ogień, a rządowe eskadry myśliwskie wszczęły natychmiast pościg, lotnikom nieprzyjacielskim udało się jednak wycofać bez poniesienia strat.

Mniej więcej w tym samym czasie dokonali lotnicy powstańczy nalotów na Walencję. Zrzucone bomby spowodowały znaczne szkody materialne, liczba natomiast rannych i zabitych jest nieznaczna.

Pieniądze z Bolszewii na spisek w Portugalii

Lizbona. Dochodzenia w związku z wykryciem spisku komunistycznego i redakcji wywrotowego dziennika „Avante" w Portugalii trwają. Ostatnio zostali aresztowani dwaj inżynierowie i jeden lekarz, a także matka jednego z nich. Aresztowano także młodego subiekta handlowego, przy którym znaleziono kwotę 4000 rubli sowieckich.

10 tysięcy obiadów dla ubogich

Kair. Wkrótce odbędzie się w Kairze ślub króla Egiptu Faruka z jedną z księżniczek egipskich. Program tych uroczystości ślubnych cechuje wybitna troska o współudział biedniejszych warstw ludności, co zresztą odpowiada najzupełniej zarówno przepisom Koranu, jak i tradycjom wschodnim w ogóle.

Z osobistych funduszów królewskich będzie wydane w Kairze 10 000 obiadów dla ubogich, a ponadto w miejskich ogrodach urządzone będą w dzień spisania aktu małżeńskiego (20 stycznia) widowiska dla dziatwy. Rozmaite stowarzyszenia i instytucje również w szerokiej mierze uwzględniły całą ludność. Zarząd miejski Zakaziku uchwalił rozdać pomiędzy najuboższych 2000 obiadów i tyleż sztuk ubrań. Prawdopodobnie na ubogich zostanie wydana suma nie mniejsza, niż na podarki dla króla.

Carski generał pastuchem gęsi na Litwie

Królewiec. Z Kowna donoszą: W powiecie wyłkowskim na Litwie zmarł pasterz gęsi u jednego z rolników, niejaki Filip Franicz w wieku 82 lata. O przeszłości jego nikt nic nie wiedział poza faktem, że przywędrował on na Litwę z Rosji.

Dopiero po śmierci zdołano stwierdzić na podstawie papierów, że zmarły był generałem armii carskiej. Wśród rzeczy zmarłego znaleziono sztandar jednego z pułków dawnej armii rosyjskiej. Ciekawem jest, że zmarły nigdy nie zdradził swego pochodzenia.

Przyczyna złego świadectwa

Pismo szwedzkie „Svenska Journalen" donosi w jednym z ostatnich numerów o humorystycznym, chociaż często w życiu szkolnym spotykanym wypadku. Dyrektor Knitters jest ojcem bardzo obiecującego syna. W jednym, niestety, wypadku zawodzi on nadzieje, pokładane w nim przez ojca, a mianowicie od kilku lat nie uczy się on matematyki, w której jego ojciec celował. Fakt ten nie może pomieścić się ojcu w głowie. Urażony tym dyrektor Knitters ustawicznie nachodzi profesora matematyki i twierdzi, że jego syna spotyka niesprawiedliwość. Pewnego razu dyr. Knitters zapytał profesora, z jakiego powodu syn jego otrzymał stopień niedostateczny.

„To jest zrozumiałe — odpowiedział profesor — gorszej noty już nie ma, nie mam więc możności dać jej pańskiemu synowi."

Lody na Wiśle ruszyły

Lody na Wiśle w województwie kieleckiem częściowo ruszyły. Między ujściem Sanu a Winiarami w pow. sandomierskim utworzył się groźny zator długości 6 km, grubości 30 cm. Ze względu na grożące niebezpieczeństwo wylewu z powodu spiętrzenia się wody wezwano oddziały minerskie, które przystąpiły do akcji rozsadzania zatoru przy pomocy materiałów wybuchowych.

Akcję obrony wałów i zabezpieczenia miejscowej ludności przed niebezpieczeństwem wylewu zorganizowały miejscowe władz starościńskie. W poniedziałek w południe lód na Wiśle pod Sandomierzem spłynął i rzeka jest wolna, a przy brzegach płynie drobna kra. Na zagrożonych miejscach ustawiono posterunki alarmowe.

M. B. LEPECKI.

Zazdrosna dżungla

(Opowieść egzotyczna.)

3)

Nawet dziurawe rańsza ponurych uciekinierów zdawały się ożywiać, tchnąc weselem i nadzieją.

Aż tu pewnego dnia okrutny Tupan przypomniał się białym przybyszom w sposób, mrożący krew w żyłach.

Było to tak.

Na łagodnym stoku góry, u źródeł rozlewających się dalej w piękną rzeczułkę, mieszkał stary, poczciwy — zresztą oddawna poniechawszy już swego zawodu, bandyta Caetano. Ze swej kochanki żony, czarnej jak tylko czarną może być murzynka z Angoli, miał śliczną, rozkoszną córkę, szesnastoletnią Annitę. Domieszka krwi afrykańskiej przyciemniła cerę dziewczęcia, ale w połączeniu z regularnemi rysami odziedziczonemi po ojcu, dawała piękną i oryginalną całość. Znali wszyscy mieszkańcy puszczy Annitę, a wszyscy chłopcy kochali się w niej na zabój. Leśna piękność nie dbała jednak o zalotników. Kochała przedewszystkiem swoje wolne, beztroskie życie. Codziennie, z karabinem na plecach, z psami u nóg, przebiegała puszczę we wszystkich kierunkach, tropiąc zwierzynę i podglądając żywą naturę.

Lubili ją ludzie, a ona odpłacała wszystkim jednakową serdecznością.

I oto pewnego dnia, w parę tygodni po nierozumnem porwaniu Indianki przez Affonsa, gruchnęła po puszczy straszliwa wieść, że Annita zginęła.

Przepadła jak kamień w wodzie.

Naprożno stary Caetano i wszyscy jego sąsiedzi szukali długo i mozolnie, nie natrafili na żaden ślad. Tylko w jednem miejscu zdawało się, że ogary znalazły stracony trop, bo pobiegły z głośnem ujadaniem naprzód, lecz radość trwała krótko, gdyż już po kilku minutach, pozornie bez żadnego widocznego powodu, zatrzymały się, zakręciły w miejscu, i z przeraźliwem skomleniem uciekły w kierunku domu. Nie pomogło nawoływanie, ani groźne krzyki. Psy, najwidoczniej przerażone czemś, czego człowiek swojemi niedoskonałemi zmysłami odczuć nie był w stanie, pogodnosiły pyski w górę i wyśpiewywały żałosną pieśń.

Nikt nie mógł odkryć tajemnicy zniknięcia Annity, wszyscy też zgodnie orzekli, że porwał ją napewno ten łotr, czerwony duch — Tupan.

Nie było to jednak jedyne nieszczęście, jakie spadło na leśnych ludzi z nad Rio Preto, Rio Bonito i Lageado do Cavallo Branco. Jeszcze nie zaprzestano poszukiwań dziewczęcia, jeszcze myśliwcy tropiący żerowiska stad leśnych świń, oglądali się uważnie na wsze strony, czy czasem z za splątanych ljan nie mignie jasna sukienka ulubienicy puszczy, gdy nowa wieść, ścinająca krew w żyłach kabokli, rozeszła się po odległych osadach.

Pewnego dnia stary Caetano przybył w odwiedziny do swego sąsiada Geronima, jednak naprożno klaskał w dłonie i wołał donośnie: „o de casa", nikt mu nie odpowiedział, ani wyszedł na spotkanie. Zaniepokojony martwotą rańszy, stary poczciwy bandyta zajrzał do wnętrza i z przerażeniem zobaczył całą rodzinę leżącą na ziemi i nie dającą znaku życia.

Nie pomogły żadne cucenia, ani wlewania w usta tęgiego kaszazu; — Geronimo i jego żona, kobieta zupełnie biała, troje dzieci malutkich i wyrobnik murzyn, wszyscy już od paru godzin wyzionęli ducha.

Gdy po próżnych usiłowaniach przywołania do życia nieszczęśliwych, Caetano ochłonął nieco z przerażenia, zaczął oglądać trupy i szukać na nich ran, lub też śladu innego rodzaju morderstwa. I wtedy dopiero przerażenie biednego kabokla wzmogło się do zenitu...

Trupy nie miały ani jednego zadraśnięcia, ani jednego znaku, który dałby jakiekolwiek wskazówki o przestępstwie na nich popełnionem.

I od tego czasu nie minął już tydzień, aby po puszczy nie biegła nowa wieść o okropnych czynach Tupana.

Wkrótce po tragicznej śmierci rodziny Geronima, zniknął w tajemniczy sposób najlepszy myśliwiec, Chico. Znaleziono go wprawdzie w kilka dni potem, lecz napół umarłego z głodu i z pomieszanym umysłem; opowiadał coś zawile, że okropny Tupan wodził go po puszczy i mylił drogi, aż w końcu pozbawił przytomności. Nocami Chico zrywał się z łóżka i ryczał donośnie, udając drapieżnego jaguara, to znowu uciekał gdzieś naoślep z obłędnem przerażeniem w oczach, dopóki wyczerpany z sił nie padał na ziemię i nie zasypiał ciężkim, kamiennym snem.

Oprócz tych strasznych nieszczęść, sprowadzanych na białych, leśny bóg lubiał też urządzać tysiączne psoty i figle. Niemal codziennie nieszczęśliwi uciekinierzy spostrzegali z rozpaczą, rozgrodzone mandueiry, popsute manżole, lub podłożone pod stępę wstrętne szczury wodne, które miażdżone i mieszane z tłuczoną kukurydzą, obrzydzały młynek na długo, czyniąc go zgoła bezużytecznym. To znowu coś nocami hukało pod drewnianemi rańszami, lub rzucało przez okna-dziury wielkie kamienie i wyłamywane z płota grube imbujowe słupki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Brylantowe gody

Niewielu już ich zostało. Około pięćdziesięciu siwych, jak gołąbki staruszeczków, których słabe dzisiaj dłonie wzniosły w nocy na 23-go stycznia pochodnie bohaterskiej walki o Wolność... Tylu ich bowiem pozostało z owych 25 000, **którzy przed światem dali dowód prawdzie, że Polska,** wykreślona z kart geograficznych, zapomniana przez kancelarie dyplomatyczne — **żyje i ma wolę samoistnego bytu.**

Nie po raz to pierwszy wówczas Naród Polski odwalał narzucony Mu przemocą kamień grobowy. **Powstanie Styczniowe było dalszym i logicznym wyrazem psychiki narodu żywego,** a pozbawionego możności samodzielnego bytu politycznego. Żrący ból po utracie Ojczyzny żył zawsze w Narodzie. Wężem ognistym wiła się tęsknota za Polską Niepodległą poprzez dziesiątki lat od Kościuszkowskiego Powstanie począwszy, **znacząc co pewien czas historię czerwonym płomieniem powstań, od których łuny biły aż na Europę... Jak młode orliki zrywały się w kolejnych powstaniach dorastające pokolenia i składały daninę najlepszej krwi,** — byle tylko idea Polski Wolnej w Narodzie nie zamarła.

Krew szlachetnie przelana nigdy nie bywa bezpłodna.

Dzięki tym właśnie powstaniom, tak bohaterskim i tak beznadziejnym żyła w Narodzie tradycja walki. Znaczyła ona, jak **słupy graniczne duchową odrębność i niezależność pozbawionego wolności Narodu i nie pozwoliła ulec najeźdzcy.**

Przypomnijmy, co rzekł kiedyś Marszałek Piłsudski, Wielki Powstaniec i wielki znawca epoki styczniowej: „**Być zwyciężonym i nie ulec — oto zwycięstwo...**"

Bohaterem Nocy Styczniowej był — cały Naród... Wprawdzie wśród długiego korowodu cieni przesuwających się w tragiczną Noc Styczniową dziś, z oddalenia lat dojrzymy dumną i na wielką miarę stworzoną postać **Wielkopolskiego** i szlachetny cień **Zamoyskiego,** widzimy skupione i pełne nadludzkiego samozaparcia oblicze Traugutta, patrzymy na bohaterskie postaci **Padlewskiego, Platerówny, Czachowskiego, Sierakowskiego, Hauke-Bossaka** i tylu, tylu innych — to jednak nikogo z nich nie możemy nazwać ojcem czy wodzem Powstania Styczniowego.

Rok 1863 nie był dziełem jednostki, porywającej innych za sobą. **Był on dziełem i wysiłkiem całego Narodu.** Wielkim bez imiennym wodzem powstania była — pieczęć Rządu Narodowego. Mały kawałek cienkiego papieru, na którym położono pieczęć Rządu, zamieniał się dzięki ogólnemu patriotyzmowi w święty rozkaz dla każdego Polaka bez różnicy jego przynależności partyjnej do „białych" lub „czerwonych". **Mała tajemnicza kartka stwarzała cuda ofiarności,** dzięki którym dwadzieścia pięć tysięcy bohaterskich straceńców trzymało przeszło rok czasu w szachu najpotężniejsze państwo ówczesnej Europy.

To właśnie poczucie wspólnego wysiłku, wspólnej ofiary, spełnianej przez wszystkich dla pięknej idei Ojczyzny, jako wspólnego dobra — nie przestało oddziaływać w kraju i później, w latach popowstaniowych, w epoce „zwątpienia i tak zwanej pracy organicznej".

W tradycji Dni Styczniowych: — walki za wspólną dla wszystkich Ojczyznę — **czerpią następnie siły najlepsze i najszlachetniejsze duchy Polski** lat ostatnich, tą wielką tradycją karmiony był **geniusz Marszałka Piłsudskiego...** Ona zrodziła bohaterską epopeę lat ostatnich...

Naród żyjący taką tradycją zginąć nie może.

Dlatego dzień 23-go stycznia 1938 roku jest dla całego Narodu Polskiego nie tylko **75-letnią** rocznicą minionego bohaterstwa, nie tylko pięknym wspomnieniem historii, lecz wielkim dniem, w którym damy świadectwo wiecznie żywej miłości dla Polski, obchodzącej wraz z żyjącymi jeszcze relikwiami ostatniego powstania — Brylantowe Gody...

Fałszywe gwiazdy

Pewnego dnia wielki książe rosyjski Michał, syn Aleksandra III, wybrał się do obserwatorium astronoma Struwego. Uczony, nie spodziewając się tak dostojnego gościa, wyszedł do niego i towarzyszących mu gości w wyszarzałym, starym szlafroku. Gdy zobaczył przybyłych i zauważył na ich piersiach medale, krzyże i gwiazdy był bardzo speszony i zaniemówił.

Wielki książe Michał, który słyszał kpiny, wypowiadane za jego plecami na temat szlafroka uczonego i głośne ironiczne śmiechy, odwrócił się do towarzyszących mu i rzekł:

„Z czego się panowie śmiejecie? Czy to dla was takie dziwne, że uczony, który całe życie patrzy w gwiazdy i obserwuje ich bieg, jest zdumiony na widok tylu fałszywych gwiazd na waszych piersiach?"

Czytajcie naszą Gazetę

Słowo — pieśń — strój polski

na straży uświadomienia narodowego

Wychowawcze znaczenie teatru ludowego.

Teatry amatorskie na Warmii cieszą się — jak i na innych terenach — wielkim zainteresowaniem. Zwłaszcza teatry amatorskie w Olsztynie znalazły rozgłos po całej Warmii i ściągają zawsze wielkie tłumy publiczności. Ostatnio Towarzystwo Miłośników Sceny Polskiej odegrało z okazji jubileuszowego Zjazdu Związku Polaków wspaniały teatr, treści ludowej i narodowej, który zawierał dużo nauk. Nie zabrakło — jak w każdym teatrze momentów wesołych, lecz sens sztuki oparty był na tle głębokim, poważnym. W tym leżało wielkie znaczenie teatru. W związku z tym zastanówmy się chwilę nad znaczeniem wychowawczym teatru ludowego.

Trudną, lecz szczególnie ważną formą pracy społecznej stał się w ostatnich latach teatr ludowy, którego bohaterem jest polski lud ze swymi troskami, kłopotami, że swą radością i fantazją. Praca ta ma nieograniczone możliwości wychowawczo-oświatowe, a odpowiednie pokierowanie nią może wydać rezultaty nadspodziewane, **oddziaływując na najszersze masy, docierając do każdej duszy.**

Ten zwrot ku trwałym wartościom, tkwiącym w ludzie polskim nastąpił przed stu z górą laty. Już wówczas ukazał się szereg sztuk ludowych, mających przede wszystkim na celu oddziaływanie na człowieka w dziedzinie kultury i oświaty. Na szczególne wyróżnienie zasługują sztuki o charakterze ludowym Anczyca, który dostosował je do potrzeb ducha polskiego. Największy rozwój teatru ludowego przypada w Polsce Odrodzonej, chociaż nie odrazu odpowiadał warunkom. Wprowadzono inscenizacje pieśni ludowych, przysłów, haseł, dopuszczając do głosu nawet improwizację. Słowa, pieśni, muzyka, wystąpiły na pierwszy plan. Najważniejszym jest śpiew, który zawsze najłatwiej trafia do ludu, najbardziej działa na duszę ludzką. **Przez pieśń ludową, odtworzoną scenicznie krzewimy jednocześnie umiłowanie do polskości,** szczególniej tam, gdzie czysty dźwięk polskiego słowa, polskiej pieśni, gdzie urok polskiego stroju i zwyczajów narodowych — musi być kultywowany im dalej znajduje się od ośrodków polskości, t. zn. zagranicą.

Zwłaszcza **słowo polskie** najczystszą polszczyzną wypowiadane, **odgrywa w teatrze ludowym główną rolę.** Jego więc celem powinno być przede wszystkim krzewienie kultu słowa mówionego. Słowo polskie, słyszane w teatrze głęboko zapada w duszę Polaka, nie mającego wiele sposobności do tak bezpośredniego słuchania dźwięków nieskażonej niczem mowy polskiej. Pod wpływem tego żywego słowa polskiego w polskim teatrze — bardziej słuszna wydaje się myśl zawarta w czterowierszu:

„więc czcij to słowo, co się u świata okryło
zasług wawrzynem, bo kto nim gardzi, albo
pomiata, ten złym ojczyzny jest synem."

Nie mniej ważne w teatrze ludowym jest tło. Dekoracje i stroje muszą być odpowiednio dostosowane do widowiska, jakie teatr wystawia. **Polskie stroje ludowe w teatrze ludowym dopełniaja zwykle treści,** czynią ją barwną, bardziej ciekawą i łatwiej przenikającą w serca widzów. A na zainteresowaniu jak najszerszych warstw — zależy właśnie teatrowi ludowemu, który mimo swej nazwy przeznaczony jest w równej mierze dla ludności wiejskiej, jak i miejskiej. Taki teatr ludowy to jedna z dróg do wymarzonego teatru narodowego, który obok godziwej rozrywki duchowej o ogólnoludzkiej podstawie ma być jednocześnie **„skarbnicą ducha narodowego".** Służąc zaś tak ważnej idei teatr może dobierać odpowiednie sztuki, by budzić one mogły miłość do narodowej kultury, by pozwalały zaznajomić się ze zwyczajami polskiego ludu, ratując przy tym jego dorobek artystyczny. To też sztuka musi mieć tu zawsze głębszą myśl wyrażoną w prostych słowach. Kwestia doboru tematu jest bodaj najważniejszą, gdyż wykonanie artystyczne zależne jest od wykonawców, których dobre chęci i odpowiednie ustosunkowanie się do sztuki wystawianej postawią jej wykonanie na właściwym poziomie.

Koniecznym więc okazuje się wychowanie i dokształcanie pracowników teatralnych, którzyby praktycznie przygotowali się do prowadzenia tego teatru ludowego. Przez wspólne obmyślanie, przez grę zespołową, ambicja jednostki uczy się podporządkować gromadzie. Wzmaga się jednocześnie poczucie dumy narodowej, pociągając jak najwięcej osób do celowej współpracy, działającej z zespołem.

Teatr ludowy — umiejętnie prowadzony może oddać sprawie polskiej trwałe usługi. Ze sceny teatru bowiem słowo, pieśń i strój polski łatwo może przenikać w umysły i serca rodaków, którzy je krzewić i pielęgnować będą.

Po śmierci niósł swoją głowę 3 kilometry

Djulbaba — mahometański święty Serbii.

W Kossowskiej Mitrowicy, w południowej Serbii, znajduje się grób mahometańskiego świętego Djulbaby. Świętemu temu, a raczej jego szczątkom przypisuje ludność niezmierną siłę dokonywania cudów. Już jego śmierć daje podstawy do tego, żeby uchodził za świętego, który ma zdolność czynienia cudów. Poniósł on śmierć w roku 1389 w bitwie pod Amsefeld, z ręki opiewanego w pieśniach serbskich rycerza Bogdana, który mu ściął mieczem głowę. Djulbaba, wierny wyznawca Mahometa, nie chciał dopuścić do tego, żeby jego krew zmieszała się z krwią niewiernych, chwycił swą spadającą głowę i biegnąc niósł ją 3 kilometry, aby złożyć w miejscu, gdzie obecnie znajduje się jego grób. Podczas tego biegu usta odciętej głowy wymawiały jeszcze wersety z Koranu i upomnienia, które zapamiętali jego towarzysze z pola walki, a które jest obecnie wypisane na jego nagrobku. Treść napisu brzmi: „Tu spoczywa Djulbaba, sługa Proroka, zmarły z woli Allaha. Mój grób jest upomnieniem, że Bałkany są dla ludów bałkańskich a Europa dla Europejczyków. Każdy wyznawca Allaha będzie korzystał z mojej mocy czynienia cudów".

Jak twierdzą mahometanie, Djulbaba dotrzymuje swoich przyrzeczeń i obdarza wiernych Mahometan łaską czynionych cudów. 20 metrów od jego grobu bije źródełko, którego woda ma lecznicze właściwości. Pielgrzymi, cierpiący na różne dolegliwości, odzyskują w nim zdrowie. Nawet przejście 3-kilometrową „świętą" ulicą, która prowadzi z miejsca jego śmierci do grobu ma cudownie działać na spełnienie próśb pielgrzyma.

Na śmierć skazani

Kottbus. Sąd tutejszy **skazał po dłuższej** rozprawie mordercę Kurt Hebelera **na karę śmierci.** Hebeler zamordował swego ojca. **Tegoż samego** dnia skazana została matka Hebelera **na śmierć** za pomoc, udzieloną synowi przy **zamordowaniu ojca.**



U dentysty

Słoń cyrku Barley, występującego w Wiedniu skaleczył sobie ząb. Chcąc zachować **zwierzęciu jego ozdobę** przywołano dentystę, który ząb zaplombował. Słonia ważącego 3900 kg **powalono na ziemię** i związano łańcuchami. do nawiercenia zęba użyta świder do wiercenia **kamieni.**

KRONIKA

Kalendarz dnia

22 Styczeń

Sobota

Wincentego p. m., Anastazji Słowiański: Witosława.
Słońca wsch. 7.32, zach. 16.04.
Księżyca wsch. —, zach. 9.42.

Kronika historyczna:

1577. Zamojski wypędza wojska arcyks. Maksymiliana z Krakowa.
1863. Wybuch powstania ogłoszony odezwą.
1917. Orędzie Wilsona w Senacie na rzecz Polski.
1920. Zajęcie Chełmna przez armię Hallera.

Przysłowia ludowe:

Na św. Wincenty, nieraz mrozek cięty.

Ciekawe wiadomości:

W roku 1937 notowano w Polsce około 536 tys. bezrobotnych.

Aforyzmy:

Najmniej uznania doznają przeważnie ci, którzy na nie najwięcej zasługują.

Horoskop

dla urodzonych od 22 stycznia do 21 lutego:
W o d n i k. Symbol altruizmu, udziela tym, którzy pod nim przyszli na świat szans zdobycia majątku w późniejszym wieku. Połączone to będzie z przeciwnościami. Wodnik sprzyja specjalnie zawodowi żołnierskiemu. Kobiety i mężczyźni będą ofiarami intryg. Kamieniem szczęścia jest szafir.

— **Z sądu.** 40-letnia Wiktoria W. z Olsztyna zasiadła na ławie oskarżonych, ponieważ podniosła rękę na swą matkę, którą pobiła. Tło sprawy karnej przedstawia się następująco:

W mieszkaniu oskarżonej obchodzono dzień urodzin starego ojca. Późno, bo już nad ranem doszło między uczestnikami uczty do sprzeczki w toku której oskarżona rzuciła się na swą matkę, którą tak pobiła, że staruszka musiała zawezwać pomocy lekarskiej. Sędzia w ostrych słowach potępił postępowanie oskarżonej, oświadczając, że dzieci, którzy podnoszą rękę na swych rodziców, nie zasługują na litość. Sąd skazał winowajczynię na 2 miesiące więzienia.

— **Ruś** (Reussen). Hans H. z Rusi brał udział w pewnej zabawie tanecznej w Rusi. Zapoznał się w czasie tańca z 28-letnią M. Sch. Po tańcu zaczął 19-letni H. romansować z dziewczyną, z którą wyszedł do ogrodu. Nagle powalił H. dziewczynę na ziemię i skradł jej torebkę, zawierającą 1.50 mk. Kupiwszy sobie za te pieniądze papierosów i piwa, udał się H. do domu. Żandarm jednak wnet go wyśledził. Sąd olsztyński skazał zbrodniarza na 6 miesięcy więzienia.

— **Biskupiec** (Bischofburg). Na targu tutejszym sprzedano szczupaka ważącego 13 funtów. Rybę tę wyłowiono z jeziora Dadaj.

— **Orneta** (Wormditt). Podczas młócenia powstał pożar w stodole gospodarza Krause w Wusen. Pożar strawił stodołę, chlewy oraz śpichlerz ze zbożem. — Na majątku Spanden spaliła się stodoła zapełniona słomą.

KRONIKA ZIEMI MALBORSKIEJ

— **Kwidzyn** (Marienwerder). Na policji tutejszej zgłoszono znów kradzież roweru. Wobec tego, że kradzieże rowerów mnożą się w ostatnim czasie w sposób zastraszający, ostrzega policja właścicieli rowerów przed lekkomyślnością. Bo ta lekkomyślność ułatwia złodziejom niecne rzemiosło.

— **Sztum** (Stuhm). Na rynku tutejszym spadł pewien zamiejscowy obywatel z roweru i doznał okaleczeń głowy. Ranny udał się do lekarza.

Z MAZOWSZA

— **Ostróda** (Osterode). Na posiadłości gospodarza P. pod Biesalem powstał pożar, który strawił stodołę. Zaalarmowana straż ogniowa uratowała sąsiednie zabudowania przed pożarem.

— **Żądzbork** (Sensburg). W ostatnich dniach dokonano tu 7 kradzieży mieszkaniowych. Policja wyśledziła złodzieja w osobie pewnego młodego chłopaka, który przyznawszy się do winy zdradził także dwuch swych wspólników.

— **Pisz** (Johannisburg). Na posiadłości gospodarza Ottona Skowronka powstał pożar, który wyrządził nieznaczne szkody, gdyż straż ogniowa przy była na czas i ogień ugasiła.

— **Pisz** (Johannisburg). W wiosce Königstal zaszedł tragiczny wypadek. Mężatka B. zamknęła dwoje swych dzieci w izbie i sama poszła po zakupy. Gdy wróciła, izba była napełniona dymem a dzieci nie żyły. Udusiły się w dymie, który powstał skutkiem pożaru, spowodowanego przez zarzące się węgle, które wypadły z pieca.

Z INNYCH CZĘŚCI PRUS WSCHODNICH

— **Barsztyn** (Bartenstein). Przy wyprzęganiu koni, upadł gospodarz Fleischer z Asmanns a równocześnie padł na niego koń. Gospodarz odniósł złamanie kilku żeber i zgniecenie klatki piersiowej.

— **Bartoszyce** (Bartenstein). Pewnemu agentowi handlowemu, który się upił, skradziono portfel, zawierający 200 mk. Podejrzenie padło na kelnerkę lokalu, w którym okradziony pił. Aresztowano ją oraz jednego z gości. Aresztowani przyznali się częściowo do winy.

— **Wystruć** (Insterburg). Z okazji 200-letniego istnienia aukcji bydła rozpłodowego odbyła się tutaj uroczysta aukcja. Spędzono 117 buhai i 215 jałowic i krów. W środę nastąpiło premiowanie zwierząt przez komisję składającą się z przedstawicieli z Nadrenii, Westfalii, Saksonii i Pogranicza. Najlepsze buhaje pochodzą z hodowli Kowitza w Gordejkach. Na 200. aukcji sprzedano 10 000-go buhaja a obrót wystruckiej aukcji wynosił 50 000 sztuk bydła. Po aukcji odbyła się uroczystość nazwana „balem byków“ (Bullenball).

— **Kranc.** Na pewnym majątku pod Krancem rozszarpały psy 18 owiec. Owce były w stodole a drzwi stodoły były otwarte, tak że psy miały łatwy dostęp do bydląt.

Z DALSZYCH STRON

— **Berlin.** Miasto Darmstadt przejęło szpital katolickiego zakonu Braci Miłosiernych pod wezwaniem Serca Jezusowego. Kierownictwo nowego szpitala, całkowicie przebudowanym i przekształconym w klinikę położniczą, burmistrz miasta powierzył narodowo-socjalistycznemu lekarzowi. Opiekę nad chorymi sprawować będzie 25 narodowo-socjalistycznych pielęgniarek.

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA

Gdynia liczy 114 tysięcy mieszkańców

Obliczenia na koniec roku 1937 wykazały, że liczba ludności w Gdyni przekroczyła 114 000 mieszkańców. Na koniec roku 1936 Gdynia liczyła 102 tys. mieszkańców, a więc w ciągu roku przybyło Gdyni 12 tysięcy nowych obywateli.

Lwy rozszarpały pogromcę w cyrku

B u d a p e s z t. Dzienniki donoszą, że w miejscowości Ujpetre w okolicy Pecs w czasie przedstawienia w cyrku wędrownym lwy rozszarpały swego pogromcę. W chwili, gdy pogromca znajdował się wraz z trzema lwami w klatce i ustawiał zwierzęta do popisów, jeden z lwów rzucił się nań, zatapiając swe kły w gardle pogromcy. Pozostałe dwa lwy rzuciły się na pogromcę. Wśród widzów wybuchła nieopisana panika. Kilku mężczyzn dało kilkanaście strzałów rewolwerowych, zabijając wszystkie trzy lwy. Z klatki jednak wydobyto już tylko rozszarpane zwłoki pogromcy.

Małżeństwo zmarło w dniu „złotych godów“

Dziennik włoski, wychodzący w Aosta, donosi, że zaszedł tam niezwykły wypadek — mianowicie, małżeństwo zmarło w dniu swych złotych godów naturalną śmiercią. Mąż, Rentner Michellet, który liczył 71 lat i jego żona Maria o dwa lata młodsza od niego, czynili przygotowania do „złotych godów“. Mieli oni zamiar obchodzić 50-tą rocznicę swego ślubu niezmiernie uroczyście. Niestety, na kilka dni przed tą, tak rzadko obchodzoną uroczystością, sędziwy małżonek zachorował na zapalenie płuc i rano w dniu „złotych godów“ zakończył życie. Po śmierci męża zachorowała nagle na serce jego żona i po kilku godzinach zakończyła życie.

Licznie zaproszeni goście zamiast brać udział w uroczystości „złotych godów“ odprowadzili tego samego dnia zmarłych małżonków do kaplicy cmentarnej.

Kącik wesołości

M o s k w a. Humorystyczny tygodnik sowiecki „Krokodił“ przynosi taki oto charakterystyczny obrazek: W moskiewskiej fryzjerni „Higiena“ jeden z obecnych klientów grzecznie odstąpił swemu sąsiadowi pierwszeństwo do zabiegu fryzjerskiego. Kiedy uradowany, a jednocześnie zdumiony obywatel zapytał uprzejmego sąsiada o przyczynę tej uprzejmości, usłyszał:

— Obliczyłem — że co 10-ty klient otrzymuje czystą serwetkę, pan był 10-ty, a ja 9-ty, więc... wolałem zmienić się.

Program radiowy

rozgłośni warszawskiej

Niedziela, 23 stycznia 1938.

8.00 Sygnał czasu i kolenda. **8.05** Dz. poranny. **8.15** Audycja dla wsi. **9.00** Nabożeństwo. **11.00** Płyty. **11.57** Sygnał czasu i hejnał z Krakowa. **12.03** Poranek symfoniczny z Łodzi. **13.00** Przegląd kulturalny. **13.10** „Prawo krwi“, nowela. **13.30** Muzyka obiadowa. **15.45** Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci. **16.05** Tr. ze Zlotu Śpiewaczego na Śląsku Opolskim (przez Katowice). **16.45** „Anielcia i życie“, powieść. **17.00** Koncert rozrywkowy. **17.50** Chwila Biura Studiów. **18.00** Komedia Al. Fredry (wieczór IV) „Zemsta“. **19.35** Muzyka taneczna. **20.35** Program na jutro. **20.40** Przegląd polityczny. **20.50** Dz. wieczorny. **21.00** Wiadomości sportowe. **21.15** „Ta-joj“ — wesoła audycja. **22.00** Opowieść o Beethovenie (II aud.) — „Tak stuka los“. **22.50** Hołd społeczeństwa weteranom 1863 r. **23.00** Muzyka taneczna.

Toruń.

8.30 Audycja dla wsi. **8.50** Pieśni ludowe. **11.00** Płyty. **13.00** Przegląd wydawnictw z Pomorskiej półki książkowej. **15.45** Fragmenty z operetki „Źródło miłości“. **19.45** Koncert życzeń. **23.00** Muz. tan.

Poniedziałek, 24 stycznia 1938.

6.15 Pieśń „Kiedy ranne“. **6.20** Gimnastyka. **6.40** Płyty. **7.00** Dz. poranny. **7.15** Płyty. **8.00** Audycja dla szkół. **11.15** Audycja dla szkół. **11.40** Od warsztatu do warsztatu: Jak pracuje lakiernik. **11.57** Sygnał czasu i hejnał z Krakowa. **12.03** Audycja południowa. **15.30** Wiadomości gospodarcze. **15.45** „Z pieśnią po kraju“ — audycja. **16.15** Polskie utwory (koncert). **16.50** Pogad. aktualna. **17.00** Największa tama na świecie — odczyt. **17.15** Koncert solistów. **17.50** Dziesięciolecie Aeroklubu Krakowskiego — pogadanka. **18.00** Wiad. sport. **18.10** Uczmy się polskich tańców — lekcja. **18.30** Progr. na jutro. **18.35** Audycja dla wsi. **19.35** Dyskutujmy: „Kto powinien organizować wczasy młodzieży?“ **19.50** Pogadanka aktualna. **20.00** Koncert rozrywkowy. **20.45** Dz. wieczorny. **20.55** Pog. aktualna. **21.00** Muzyka taneczna. **21.40** Nowości literackie. **22.00** Koncert symfoniczny. **22.50** Ostatnie wiadomości. **23.00** Muzyka taneczna.

Toruń.

13.00 Płyty. **14.00** Wiadomości z Pomorza. **18.25** Wesoła muzyka. **18.40** Lekcja języka polskiego. **23.00** Tańce i piosenki.

Druk i nakład S. Pieniężnego w Olsztynie. Redaktor również za dział ogłoszeniowy S. Pieniężny.
D. A. XII. 1937: 915. Cennik ogłoszeń nr. 3 z 1. 12. 35

Dodatek do nr. 17 „Gazety Olsztynskiej“

Tragiczny więzień królowej Madagaskaru

Rok 1831. Znowu rozbija się statek na wybrzeżu Madagaskaru. Tym razem francuski. I z toni wydostaje się na ląd tym razem młody Francuz, sympatyczny, krzepki zuch: sam ledwo dysząc spieszy innym na pomoc i ratuje życie prawie całej załodze. Chwat. Ale wyszedłszy na ląd, z troską spoziera w głąb wyspy i — w przyszłość. Co będzie dalej?

Pytanie uzasadnione: w ostatnich bowiem latach coś się na Madagaskarze haniebnie zepsuło. Dopóki żył król Radama, było tu dobrze, było świetnie. Król przyjaźnił się z Europejczykami i zapraszał ich do siebie. Ale trzy lata temu dobrodziej umarł, zostawiając żonę, Ranawalonę, a swej żonie potężne państwo i liczny poczet krewniaków. Nowa władczyni, jakaś paskudna jędza, państwo, owszem, objęła, lecz krewniaków kazała wytruć. Gorzej, że następnie Heród-baba zabrała się także do Europejczyków i wszystkich białych wypędziła z wyspy, księży, pastorów, kupców, wszystkich. Myślała, że dybią na jej włości. Za to, że tak myślała, (chociaż miała pewnie trochę racji), chcieli ją Francuzi koniecznie ukarać. Przypłynęli, bombardowali Tananarywę, lecz pod Foulpointe ponieśli lekką porażkę; po czym, mając u siebie w domu rewolucję, niespyszna się wycofali z wyspy. Było to właśnie rok temu, kiedy owa wyprawa spaliła na panewce i na Madagaskarze została królowa Ranawalona, sama, zwycięska i z coraz gorszą sławą krwawej wiedźmy.

Więc co będzie? — troska się słusznie młody rozbitek europejski, na domiar Francuz, gdy wbrew swej woli znalazł się nagle na plaży w państwie takiej sekutnicy.

Młody Francuz nazywa się Jean Laborde. Powiadają mu krajowcy, że w Foulpointe mieszka jedyny na wybrzeżu Europejczyk, także Francuz, Lastelle, cieszący się wielkim zaufaniem królowej. Więc rozbitek wędruje do niego. Lastelle przyjmuje rodaka serdecznie, później znienacka się zapytuje:

— Czy umiałby pan... lać armaty?

I tłumaczy, że królowa potrzebuje w tej chwili takiego majstra. Laborde po krótkim namyśle:

— Właściwie umiałbym. Ojciec mój był kowalem.

W kilka tygodni później Laborde staje przed obliczem królowej w Tananarywie. Jest mile zaskoczony: spodziewał się brzydkiej megery, a tu młode, świeże oblicze patrzy na niego z rozbudzoną ciekawością i z wiarą. Oblicze kobiece, choć energiczne.

— Co umiesz? — pyta się królowa-wdowa.

Ale właściwie nie chce już odpowiedzi. Wystarczy jej, co widzi: rozumny blask w bystrych oczach i kształty, muskularne ciało. Laborde ma właśnie dwadzieścia sześć lat.

Co Laborde umie, pokazuje w następnych latach. Historia jego, rozpoczęta niby operetkową groteską, rozwija się w fantastyczny epos. Królowa żąda, by wykonał jej armaty. Więc Laborde szuka okolicy, gdzie jest ruda żelazna, drzewo i woda; znajduje to w Mantasoa, wznosi tam wysoki piec, wodne młyny, odlewnie i niebawem — dostarcza nienajgorszych armat. Królowa żąda prochu. Laborde sięga po przepis do swej podręcznej encyklopedii Roreta, którą zawsze ma przy sobie: po tygodniu dostarcza prochu. Królowa potrzebuje porcelany. Znów Roret, budowa pieca do wypalania, dostarcza porcelanowych naczyń. Mydła! Już następnego dnia królowa dostaje pierwsze próbki mydła.

Rozbitek Laborde, były agent kupiecki w Indiach, wkraczający co dopiero w wiek męski, ujawnia tu nagle jakiś nieprawdopodobny geniusz przemysłu i zaradczości. Z niczego prawie, bo z wątłych źródeł encyklopedii, czerpie swą wiedzę. Nie ma żadnych fachowych doradców, rozporządza siłą roboczą najsurowszą. A jednak stwarza w Mantosoa rzecz — na te czasy, na ten zacofany kraj — niebywałą: tworzy potężny ośrodek przemysłowy, zatrudniający do dziesięć tysięcy robotników i produkujący wszystkie najważniejsze przedmioty, potrzebne krajowi. Więc obok armat i amunicji — strzelby; obok porcelany szkło; obok mydła, świece. Dalej sukna, papier, piorunochrony, instrumenty muzyczne. Każde życzenie królowej Laborde spełnia.

Ubóstwia go kraj, uwielbia dwór; ojcem i bratem nazywają go księżniczki. A on — być może, zapatrzony w uśmiech królowej — płodzi, niezmordowany w swej twórczości, coraz nowsze dzieła. To wystawia jej na górze Tananarywy majestatyczny pałac, sam architektem, sam budowniczym: Pałac Królowej. To chłopów Howa uczy uprawy trzciny cukrowej, sprowadza im lepsze rasy bydła, zapoznaje z nowymi roślinami; prawdziwy, wszechstronny dobroczyńca Malgaszów. Królowa, władająca twardą, okrutną ręką w państwie, przy nim przemienia się w czułą kobietę. By w jego towarzystwie wytchnąć, odwiedza go często w Mantasoa. A gdy na brzegach wyspy znów zbierają się chmury, królowa znów odpiera zwycięsko atak wrogów, tym razem połączonych: Anglii i Francji. Odpiera bronią, której dostarcza jej Laborde.

Mijają lata. Wrogowie państwa czuwają. Mnożą się intrygi dokoła Madagaskaru. Królowa broni się coraz zacieklej, coraz uporczywiej, nieprzytomniej. Nie szczędzi krwi. Na jej okrucieństwa szemrzą nawet najbliżsi. Oto jej syn, niebezpieczny marzyciel. Za namową obcych agentów, za plecami królowej, ofiaruje Francji swą uległość, po prostu knuje zdradę. Nawet Laborde daje się wciągnąć do tego spisku, dla dobra kraju. Bo już zmieniły się dawne czasy, odeszły. Dwadzieście cztery lata upłynęły od roku 1831 i pokryły zmarszczkami lica królowej. Laborde także się zestarzał.

Bomba pęka. Ostrzeżona królowa dowiaduje się o spisku. Cierpi, szaleje. Znowu wszystkich cudzoziemców wypędza z Madagaskaru, a między nimi ubóstwianego do niedawna przyjaciela kraju, Laborde'a. To racja stanu i urażona duma kobieca.

Już się nigdy nie zobaczą. Mantasoa, miasto przemysłu, podupadnie bez twórczej energii Laborde'a. Pewnego dnia zbuntują się robotnicy, za darmo muszą pracować, i zniszczą wszystkie maszyny, spalą budynki. Tak ruiną kończy się wielkie dzieło malgaskie, wspólne dzieło niezwykłego Francuza i malgaskiej królowej.

Po śmierci Ranawalony Jean Laborde wraca na Madagaskar. Broni interesów Francji. Znowu energię i zapał wkłada w to posłannictwo. Ma wyjątkowo trudną sytuację. Anglia zapuściła tu na dobre swe wpływy. Pozyskała dwór, zaprowadziła wśród Hawów swoją religię. Tananarywa patrzy na Londyn.

Lecz Laborde, gruntowny znawca malgaskiej duszy i stosunków, spełnia swój obowiązek zaszczytnie: skutecznie paraliżuje wpływy angielskie. Laborde kocha na równi obydwa kraje, Francję i Madagaskar, i dlatego zwycięża. Jest dyplomatą z sercem: wciąż myśli o przyjaźni i serdecznym, braterskim sojuszu francusko-malgaskim. Gdy po osiemnastu latach tej pracy umiera, schodzi w chwale: Madagaskar go miłuje, Francja czci. Cała Tananarywa odprowadza jego zwłoki do grobu. Francja postawi mu później pomnik a plac i ulice Tananarywy nazwie jego imieniem.

Był to nieprzeciętny człowiek. Ważny, może najważniejszy, obok Galieniego, Francuz, jaki kiedykolwiek przybył na Madagaskar. I człowiek nam, innym ludziom, dziwnie bliski: obok jego wspaniałych wzlotów, świetnych zwycięstw snuje się ciągle wątek tragedii. Pierwsza jego tragedia to broń, której dostarcza malgaskiej królowej, a która, rzecz wszystkim wiadoma, skieruje się przeciw jego własnym rodakom. Lecz wtedy Laborde był młody i królowa była młoda.

Drugą jego tragedią to ruina dzieła, w które włożył tyle geniuszu i tyle energii: Mantasoa.

Trzecią tragedią, już po jego śmierci, będzie ruina serca: bo jakiś przekorny los chce, że właśnie w jego imieniu, Laborde'a, największego przyjaciela i dobroczyńcy Malgaszów, Francja wypowiada tymże Malgaszom wojnę, po której odbiera im wolność i narzuca protektorat. Chodzi mianowicie o spadek majątku po Labordzie. Według prawa malgaskiego spadek po cudzoziemcach przypada koronie. Lecz z tym nie zgadzają się spadkobiercy zmarłego. Francja dopiero zbrojnie ich protest — trzyletnia wojna — protektorat.

I jakby nie dość było tego: tragiczny łańcuch ciągnie się do dnia dzisiejszego. Oto poznaje w Tananarywie prawnuka Laborda, w prostej linii, kilkonastoletniego młodzieńca. Pracuje jako skromny elew w administracji „Journal de Madagascar“ i jest bardzo ubogi, jest biedny jak mysz kościelna. Więc gdzie podział się ów spadek, o który wypowiadano wojnę Malgaszom?

Lecz to już nie tragedia, to zwykłe drwiny losu.

Arkady Fiedler („Gaz. Polska“)

Poemat z kamienia

Wyjechawszy z Rouen, pilno nam dotrzeć do opactwa Wandrille i obejrzeć ten cud kamienny; własnymi stopami wyczuwać ślady stóp Maeterlincka, którego właśnie 75-lecie obchodzi cały świat literacki, własnym, nigdy nie nasyconym spojrzeniem poszperać w miejscu, które było jego siedzibą.

W pamięci tłukły się opisy owego, nie na miarę dzisiejszą zakrojonego widowiska, jakim bez wątpienia musiało być wystawienie „Niebieskiego ptaka“ w otoczeniu ruin Opactwa. Ale zapewne nikt z nas nie przypuszczał, do jakiego stopnia właśnie tutaj musiała się zmieszać fantazja artysty-poety z fantazją artysty-architekta, jak się zazębić, by stworzyć coś, o czym niektórzy wyrażali się, zanim jeszcze je ujrzeli, że będzie szaleństwem, inni zaś niemal z nabożeństwem oczekiwali na realizację zapowiedzi.

„Może kędyś błąka się tutaj, wśród tych cudownych filarów, pnących się w górę, cień dwojga małych dzieci, wierzących w bajkę... może jakiś zakątek baśniowey krainy odkryć będzie można za załamkiem muru, lub pod łukowym sklepieniem...

Nie! nic! cisza... tylko postać mnicha przemyka w oddali, mnicha, który „jest wieczny, jak dąb“... Postać ta świadczy o ciągłości tej cywilizacji, którą zakon Benedyktynów zaszczepił w Wandrille, założone w roku 649, przetrwało do dnia dzisiejszego. Prawda, że w ciągu tych wieków przechodziło różne koleje, że dwukrotnie wyganiano mnichów z ich siedziby: po raz pierwszy powrócili znów po 102 latach, po raz drugi wygnanie trwało znacznie krócej, bo tylko lat 30. I nic to, że północni barbarzyńcy spalili ongiś siedzibę Benedyktynów, nic to, że Rewolucja zburzyła mury Opactwa: żywotność dzieła nie ucierpiała na tym! Bo dzisiaj znów, wśród zielonej doliny Fontenelle, synowie duchowi św. Benedykta wiodą, jak przed wiekami, życie poświęcone modlitwie i pracy, jak im nakazuje reguła Świętego.

Opactwo mieściło w sobie w VII wieku 300 uczni, którzy kopiowali rękopisy, posługując się przy tym drobnym pismem romańskim, bardziej czytelnym, niż to, które było powszechnie używane za Merowingów.

Jednym z opatów w Wandrille był słynny Eginhard, kronikarz francuski, autor „Życia Karola Wielkiego“.

Każdy wiek przydawał coś do świetności opactwa. Mamy tam więc refekterz z XI wieku, do którego z powodu klauzury wstęp kobietom jest wzbroniony. Mamy ruiny, sięgające XII wieku, budowane w najczystszym stylu gotyckim, i sam klasztor rozbudowywany stopniowo w XIV, XV i XVI wieku. Mamy budowle potężne z XVII wieku, w których odnajdujemy jakby echo Wersalu. Zwłaszcza pozostaje w pamięci przepyszna-balustrada z kutego żelaza przy szerokich schodach kamiennych, jedno z drugim przedziwnie harmonijnie połączone ze sobą. Wiek XVIII odkrywamy we wspaniałej bramie, prowadzącej do klauzury, wreszcie wiek XIX zaznaczył się pewnym zbędnym nowatorstwem w odnawianiu niektórych partyj opactwa zwłaszcza arbitralny pod tym względem był Lord Stackpoole, właściciel majętności, w których mieści się opactwo.

I tak, jak najpiękniejszy poemat, wyśpiewany w kamieniu. Opactwo Wandrille, od epoki romańskiej, z jej całą surowością, poprzez cud gotyku, wiek złoty średniowiecza, liryzm renesansu, majestat klasycyzmu, wdzięk wieków najnowszych, ukazuje nam całe niemal dzieje Francji. I ten, kto z kamieni czytać potrafi ku którego wyobraźni przemawiają one wymową specjalną, ten potrafi uczyć się historii nie tylko z książek...

Dziwny jakiś urok rzeczy nieistniejącej ma w sobie Opactwo Wandrille! Jakby czar czegoś przeżytego we śnie i cudem zrealizowanego... Mały wirydarz klasztorny, pokryty zielenią i krzewami, tworzy oazę wśród tego poematu z kamienia. I dopiero przesuwające się postacie mnichów uzmysławiają, że te smukłe kamienne filary, te koronki wycinane w kamieniu, te odrzwia bogate — to rzeczywistość, teraźniejszość...

Dzisiaj opactwo nie mieści już w sobie uczniów, kopiujących manuskrypty, nie mniej praca, w innym coprawda zakresie, nie ustanie tam ani na chwilę. Atelier sztuki dekoracyjnej, pracownia introligatorska, atelier iluminatorskie, pracownia kaligraficzna, kuźnia, stolarnia, a wreszcie nauka śpiewu gregoriańskiego — wszystko to podtrzymuje tradycję zakonu Benedyktynów, zakonu, który od najdawniejszych czasów, od swego zarania, szerzył cywilizację wśród mieszkańców.

Wszakże to mnich benedyktyński pierwszy w Europie począł iluminować rękopisy, pierwszy tak pod względem chronologicznym, jak i estetycznym. I dzisiaj, w ciszy klasztornej, uprawia dalej swą sztukę mozolną, pełną subtelnego wdzięku i wymagającą „benedyktyńskiej“ pracy! Na modlitewnikach, księgach liturgicznych, mszalnych itd. maluje ozdobne litery, pełne zbytkownego wdzięku i świeżości kolorów.

Oto, mnich Benedyktyn, pielęgnując tradycję Hardouina z IX wieku,

Wielkie dzieło archeologiczne

Zmartwychwstanie starego rzymskiego grodu sprzed 2000 lat

Po dziesięcioletnich pracach wykopaliskowych, zmartwychwstaje nad zatoką neapolitańską starożytne miasto, które przez dwadzieścia wieków pogrążone było w skalistym grobie. Herculanum, ofiara Wezuwiusza, dzięki sprężystej akcji narodu włoskiego, jest obecnie nieomal już całkowicie odkopane.

Nie ulega kwestii, że wydobycie na światło dzienne tego starego rzymskiego grodu, było jednym z najtrudniejszych zadań nowoczesnej techniki archeologicznej. Chodziło przecież o przekopanie względnie przebycie, solidnej warstwy skamieniałej lawy, piętrzącej się miejscami do wysokości dwudziestu pięciu metrów nad niefortunnym miastem. W roku 1927 Mussolini wydał rozporządzenie bezzwłocznego przystąpienia do odkopywania Herculanum (po włosku Ercolane) i niebawem rozpoczęto to wielce ciekawe i ważne dzieło archeologiczne. Nasuwa się przy tym pytanie, dla czego dopiero w XX wieku zainteresowano się tym miastem, które przed prawie dwoma tysiącami lat, mianowicie w dniu 24 sierpnia 79 r. ery chrześcijańskiej, skutkiem strasznego wybuchu Wezuwiusza, wraz z Pompeją i Stabi, zniknęło z powierzchni ziemi. Otóż Pompeja, która już XVIII wieku częściowo odkopaną została, spoczywała pod niezbyt grubą, bo zaledwie sześcio- wzgl. ośmiometrową warstwą stwardziałego popiołu i mułu, podczas gdy Herculanum pokryte było olbrzymią, spiętrzoną masą skamieniałej lawy, której ówczesnymi środkami technicznymi pokonać nie było możności. Tylko tu i ówdzie udawało się przeniknąć przez oporne kamieniste nawarstwienie i wydobyć pewną ilość statui i popiersi, oraz zwęglone resztki ról papyrusowych.

Roboty przy odkopywaniu Herculanum były bardzo utrudnione okolicznością, że w międzyczasie nad zamarłym miastem powstało nowe ludzkie osiedle: malowniczo nad zatoką położona — Resina. Miasteczko to, liczące kilkanaście tysięcy mieszkańców, otoczone winnicami, dostarczającymi słynne wino włoskie „Lacrima Christi", skazane zostało na zagładę, aby dać miejsce wynurzającemu się z czeluści ziemskich staremu rzymskiemu grodowi. Nie cofnięto się jednak przed tą ofiarą, gdyż tylko dzięki niej umożliwiony został dalszy wgląd i bliższe poznanie tajników zamierzchłej kultury.

Prace związane z wyzwalaniem z kamiennych okowów zamarłego miasta, prowadzone były, rzecz jasna, z należyta ostrożnością i dużą pieczołowitością. Kawałek po kawałku usuwano stężałą lawę, wrzucając ją do morza; przebijano szyby i sztolnie, puszczano w ruch elektryczne wiertnice. Ale ciężka ta praca dawała obfity plon: zwolna, ze skalnych głębin poczęły wyłaniać się domy, ulice, całe dzielnice miasta. Przy Porta Decumana kopacze natrafili na teatr antyczny i cały szereg domostw, których wiązania dachowe i schody były spalone, natomiast budynki same na ogół nieźle zachowane. Z ludzi, którzy tutaj przed katastrofą żywiołową żyli, nie pozostało oczywiście ani śladu. Pożarowi szalejącemu w mieście po wybuchu Wezuwiusza, oparły się tylko murowane budynki. Pewną część znalezionych wśród resztek spalonego księgozbioru papyrusów, udało się po wielomiesięcznych mozolnych trudach rozwinąć i odcyfrować. Są to pisma epikurejskich filozofów.

Herculanum miało nader burzliwą przeszłość dziejową, zanim w r. 307 przed nar. Chr. dostało się pod panowanie Rzymu. Zamieszkiwali je Osjaci i Samnici. Cesarze rzymscy przekształcili Herculanum w luksusową miejscowość kuracyjną i wypoczynkową, do której chętnie przybywali potentaci z wiecznego miasta na letnie wywczasy. Rekonstrukcja starożytnego grodu postępuje szybko naprzód. Na fasadach wielu will widnieją już kunsztownie odnowione, piękne antyczne freski. Ulice i place zwolna przybierają swój dawny wygląd. Tu i ówdzie tryska marmurowa fontanna. A opodal — dymi Wezuwiusz, zawsze taki sam tajemniczy i groźny, jak przed dwoma tysiącami lat...

kali, afuje pięknym niezwykle czytelnym pismem niektóre z dzieł, na użytek klasztoru. O.. to ... eszcie, jak artysta w swym fachu, nadaje dziełu formę skończoną, wiążąc je w piękną oprawę skórzaną.

Od czasu do czasu grupa zwiedzających wpada, by zmącić na chwilę ciszę opactwa. Któryś z braci służy wówczas za przewodnika, a kiedy znęceni sławą tego odludzia, nasyciwszy ciekawość, turyści wyjeżdżają, Opactwo Wandrill zalega znowu niczym niezmącona ...

Nawet imię głośnego pisarza, związane na zawsze z tymi murami, imię Maurycego Maeterlincka nie mąci swym światowym zgiełkiem owej świętej ciszy... St. Ol.

Gigantyczne zmagania z naturą

przy budowie obserwatorium na wysokości 3457 m

Alpejski szczyt, zwany Sfinksem, odznacza się wyjątkową ilością wzniesionych na nim budowli. Od jego wewnętrznej strony znajduje się stacja kolejki górskiej Jungfraujoch, od strony zaś ściany południowej urządzono wielki hotel, dom turystyczny, międzynarodowy instytut badań naukowych, a obecnie wykończono pawilon obserwatorium astronomicznego.

Początek prac sięga jesieni 1936 r., kiedy zrównano znaczny teren u szczytu, przeznaczony na wzniesienie budynku. W ciągu zimy dokonano niezwykłego dzieła: w okresie tym przebito tunel, umożliwiający dostęp do szczytu od wewnętrznej strony góry. Tunel ma 110 m. długości i posiada charakter szybu, którym posuwa się w górę, aż do samego szczytu winda, mieszcząca do 13 osób. Roboty przy kopaniu tego szybu wykonywane były bez przerwy przez 22 ludzi, na przestrzeni pełnych 6 miesięcy aż do maja 1937 r. Dzięki temu jednak każdy ze zwiedzających Jungfraujoch może skorzystać z windy i dostać się do otwartego dla publiczności obserwatorium meteorologicznego, skąd roztacza się wspaniały widok na okoliczne masywy górskie i lodowiec Aletsch. Wiele trudu pociągnęła też budowa niezbędnej szopy, dającej schronienie robotnikom, zajętym przy tych wszystkich robotach. Szopa taka była również niezbędna dla wykonywania robót żelazno-betonowych, specjalnie utrudnionych w tamtejszych warunkach. Budowa szopy zabrała kilka miesięcy czasu z 5-tygodniową przerwą, spowodowaną fatalnymi warunkami atmosferycznymi. Tylko dzięki nieprzeciętnym zdolnościom alpinistycznym robotników i przezorności kierownictwa uniknięto jakichkolwiek wypadków przy tak trudnym zadaniu, jakim było zawieszenie całej konstrukcji budowli nad prawie zupełnie prostopadłymi ścianami. Wpłynęło to jednak na opóźnienie rozpoczęcia właściwej budowy gmachu obserwatorium, to też celem nadrobienia straconego czasu — prace prowadzono na dwie zmiany po jedenaście godzin, a to w obawie zbyt rychłego nadejścia mrozów.

Ukończony obecnie pawilon, koronujący szczyt Sfinksa, sprawia wrażenie fortyfikacji, a przynajmniej umocnionego zamku. Główna część skonstruowana jest z żelbetonu i muru z kamienia tłuczonego oraz betonu grubości 50 cm. Fasady izolowano przy pomocy płyt korkowych grubości 4 cm, pokrytych hydroasfaltem, co daje całkowitą grubość 73 cm.

Pierwsze i drugie piętro budynku przeznaczono dla prac naukowych. Na pierwszym piętrze znajduje się wielka sala — pracownia z wyjściem na mały taras, następnie kabina dla aparatów pomiarowych, sala barometrów, sypialnia i zwykły pokój mieszkalny dla dwóch osób. Na drugim piętrze znajduje się rezerwuar wody do picia i pracownia z całym szeregiem urządzeń pomiarowych. Na wielkich tarasach drugiego i trzeciego piętra ustawiane są aparaty, zanim przeniesie się je na powietrze dla studiów nad promieniowaniem i obserwacyj astronomicznych.

Człowiek, z którego się śmieje cała Irlandia

Niezwykła przygoda zabobonnego szynkarza

Przesądy i zabobony dla sprytnych oszustów są podłożem, z którego ciągną kolosalne zyski. Prasa raz po raz przynosi opisy nieprawdopodobnych historii oszukańczych, powstałych na tle przesądu i zabobonu. Mistrzyniami wprost w tym rzemiośle są cyganki.

Ale mylilibyśmy się sądząc, że zabobony i przesądy zależne są od stopnia kultury i cywilizacji danego kraju. Przeczy temu niesamowita historia, o której rozpisuje się prasa irlandzka.

W pobliżu Dublina na wsi posiadał gospodę niejaki John R. Powodziło mu się doskonale, albowiem był dobrym i solidnym kupcem. Umiał się obchodzić z gośćmi, więc chętnie odwiedzano jego knajpę. John R. nie pił, nie palił, ani nie grał w karty. Za to jednak miał inną wadę; był niewiarogodnie zabobonny.

Nie tolerował, by w lokalu przebywało 13 gości, bo według jego przeświadczenia jedną z osób może spotkać śmierć. Natychmiast zawracał z drogi, jeżeli przebiegł mu ją kot. Oznaką czyhającego nieszczęścia było spotkanie rano starej kobiety, jako pierwszej osoby, John R. nie dopuszczał też, by od jednej zapałki zapalała papierosa trzecia osoba.

Ten oto człowiek postanowił pewnego dnia dowiedzieć się czegoś o swej przyszłości, a któż ją może znać lepiej od wróbiarza. Wróżba wypadła źle. Johna R. czeka jakoby poważne nieszczęście, przejdzie ciężką chorobę i w gospodarstwie będzie mu zdychało bydło. Nieszczęścia te — powiedział wróżbierz — dadzą się odwrócić pod warunkiem, że John R. nie będzie przyjmował więcej srebrnych monet 5-szylingowych. One przynoszą nieszczęście.

John R. wrócił z miasta zupełnie zgnębiony, lecz nie było innej rady. Postanowił zastosować się do rady jasnowidza i nie przyjmował nieszczęsnych monet, aby uniknąć nieszczęścia.

Nie wiadomo jaką drogą, ale ludzie szybko dowiedzieli się o wróżbie i odtąd Johnowi płacili właśnie wyłącznie 5-szylingówkami. Zabobonny szynkarz wolał jednak tracić a pieniędzy takich nie przyjmował. To też gospodarstwo Johna R. w krótkim czasie było zupełnie zrujnowane, tym więcej, że na darmowe popioły schodzili się ludzie z całej okolicy.

Jakież było zdumienie szynkarza, gdy stwierdził, że nabywcą jego gospodarstwa z licytacji był nie kto inny właśnie ów wróżbiarz, który mu tak stanowczo doradzał nieprzyjmowania 5-szylingówek. To też teraz otwarły mu się oczy. Nabrał przeświadczenia, że padł ofiarą oszusta i o pomoc udał się do sądu. Sąd rzeczywiście przyjął wszystkie okoliczności i kontrakt kupca unieważnił, a w dodatku wróżbiarza skazał na karę więzienia.

ROMAN KRUCZEK

Wilcza przygoda Andrzejów

(Opowiadanie z czasów przyszłych)

Goście bawili się wybornie. Tylko Andrzejowa rozglądała się stale trwożnie w stronę okna, za którym zapadał mrok.

— Czas najwyższy wybrać się do domu — rzekła.

— Dyć macie jeszcze czas; niedziela dzisiaj i chrzciny raz na rok! Ciągiem ino patrzycie na okno. Duchów się boicie, czy co?

— To nie, przecam katoliczka, jako Bóg przykazał. Ino droga daleka i przez las wdycki prowadzi, gdzie wilków nie brak. To jak się nie bać!... A chłop spity kiejby baran.

Roześmiali się wszyscy i zwrócili w stronę spitego Andrzeja, by pokpić z niego, że słabej jest natury, bo miodu ... nie zniesie.

— Jako padocie, joch słabej natury? Trocham się zdrzemnął, bo śpik na oczy właził, ale zaroski możemy pospołu przeciupnąć. Nalej no Michale do fy — zobaczymy!

— Nie dać mu, dość ma! — zaprotestowała stanowczo Andrzejowa. Trza jechać do domu!

— Macie ją, chce chłopu swemu rozkazywać! Kajś się tego nauczyła? Jak chrzciny, to chrzciny! Joch chrzestny, to trza ochrzcić porządnie, by chłopak rósł.

— A juści, przytaknęła reszta.

— Chcesz jechać, to se jedź: ino dej pozór, by ktoś zza krzaka na cię nie wyszoł! A zanim wyruszysz, pocałujesz przedzi twego chłopa jako przystoi!

Znowu się wszyscy roześmiali. Tylko stary Walenty, siedzący na najwyższym miejscu za stołem, był poważny, jakby innymi zajmował się myślami. I kiedy prośby Andrzejowej spełzły na niczym, do niego zwróciła się ze skargą, że dzieci same w domu bojaźliwe i trzeba. Walenty spoważniał jeszcze więcej, zmarszczył silnie czoło, na które spadały kosmyki białych włosów i rzekł poważnie:

— Nie godzi się nie słuchać żony, jeźli prawda jest po jej stronie. Bóg sam przepisał żonę do boku męża i do wyrozumiałości kazał przygiąć wolę, przez śluby kościelne kobiecie dane. Nie godzi się więc słowa niedobrego żonie naprzeciwko z gęby wypuścić, bo Bóg mógłby karę zesłać i gniew swój srogi.

Słowa Walentego wniosły w gromadę rozbawionych biesiadników natychstową zmianę nastroju i po chwili już Andrzejowa wraz z mężem mogła pożegnać się z pozostałymi. A kiedy Walenty podziękował za przybycie na chrzest i pod Boską ich oddał opiece ruszyli w drogę.

Zima była sroga i mróz dokuczał jadącym, choć kołnierze ciepłych kożuchów sięgały wysoko. Puszysty całun śniegu, pod którym tonęła okolica, pokrywał wysoko drogi, wyrównując wszelkie wyboje. Głębokie sanie, zasłane dobrze słomą, mknęły szybko naprzód, a za nimi goniła coraz gęstsza ciemność nocy. Andrzejowa, w której ręce oddano lejce, nie szczędziła koni i głośnym cmokaniem zachęcała do biegu. Andrzej zaś zagrzebał się dobrze w słomie, zesunął czapkę głęboko na oczy i pogrążył się w półśnie.

Wreszcie dojechali do lasu. Spod gęstych koron drzew, przysypanych śniegiem, wyzierała zbita ciemność. Andrzejowa rozglądała się trwożnie po ciemnych zakątkach krzewia. ... Bóg uchował od wilków ...

Ukrywano w tajemnicy

największą katastrofę kolejową świata

jaka wydarzyła się podczas wojny światowej

Po raz pierwszy po dwudziestu latach za zgodą rządu francuskiego docierają do wiadomości publicznej szczegóły bodaj największej katastrofy kolejowej świata, jaka wydarzyła się podczas wojny światowej. Blisko tysiąc ofiar pochłonęła ta straszna katastrofa kolejowa: 660 żołnierzy i oficerów jednego z najlepszych pułków francuskich zginęło na miejscu, a reszta odniosła cięższe, lub lżejsze rany. Straty w ludziach w tej wstrząsającej katastrofie były więc większe, aniżeli straty poniesione w niejednej bitwie, jakie toczyły się podczas wojny światowej. Z tej przyczyny rząd francuski uważał za wskazane, pod naciskiem ostrej cenzury, nie dopuścić swego czasu do rozpowszechnienia wiadomości o strasznym nieszczęściu. z obawy, że mogła ona wywołać ujemne skutki i przykre wrażenie na ludność, pozostałą w kraju. Cenzura, dotycząca tej wiadomości do niedawna jeszcze nie pozwoliła publikować. Dopiero teraz uchylono rąbek tajemnicy o wielkiej katastrofie.

Wydarzyła się ona w dniu 12 grudnia 1917 r. na pograniczu francusko-włoskim. W tym dniu zjawiło się w miasteczku granicznym Mondane, położonym wysoko w Alpach, około 1,100 żołnierzy francuskich, którzy otrzymali urlop po stoczonych walkach na froncie włoskim. Żołnierze pragnęli jak najprędzej dostać się do swych rodzinnych stron i dlatego nalegali, aby transport szybko doszedł do skutku. W ogromnym pośpiechu zestawiono długi pociąg, złożony ze czterech włoskich wagonów wrewnianych, już nawet niezdatnych do przewożenia amunicji na front. Mało to jednak obchodziło żołnierzy, tęskniących za domem rodzinnym. Szturmowali po prostu wagony kolejowe i domagali się koniecznie od maszynisty, ażeby czym prędzej pociąg ruszył w drogę. Tak konduktorzy kolejowi, jak i maszynista Girard stanowczo sprzeciwiali się wypuszczeniu pociągu ze stacji i zaprotestowali przeciwko korzystaniu z wagonów, ponieważ nie tylko znajdowały się one w stanie bardzo opłakanym, lecz ponadto niebezpieczeństwo powiększał w dodatku jeszcze fakt, że były one przepełnione. Znowu żołnierze domagali się od swych oficerów, ażeby stanowczo spowodowali odjazd pociągu. Pod naciskiem żołnierzy, oficerowie zdecydowali wreszcie i dali urzędnikom kolejowym rozkaz wojskowy wyruszenia pociągu do Grenoble.

Miasteczko graniczne Mondane położone jest na jednej z największych przełęczy kolejowych Alp francuskich. Z tego powodu jazda z wspomnianej stacji do Grenoble jest jedną z najbardziej stromych i najbardziej niebezpiecznych w całej Francji.

Jak sprężyna okrągła w zegarku wije się droga ze szczytów górskich w dół. Niebezpieczne serpentyny ciągną się wzdłuż stoków górskich i obok głębokich wąwozów do doliny Isere, wpływającej do Rodanu. Najbardziej jednak niebezpieczną jest część trasy kolejowej, położonej między miejscowością Mondane a małym osiedlem alpejskim Saint-Michael.

Maszynista zdając sobie sprawę z tego, że nie jest w stanie wstrzymać odjazdu pociągu, domagał się przynajmniej od żołnierzy, ażeby zaczekali do chwili przyjazdu drugiej lokomotywy, co było konieczne ze względu na wielką pochyłość terenu. Pułkownik jednak nic o tym nie chciał słyszeć i wydał rozkaz natychmiastowego wyruszenia pociągu ze stacji. Tak więc przepełniony pociąg ruszył o godzinie 11,15 wieczorem ze stacji Mondane. Bardzo trudna była praca, jaką spełnić musieli maszynista i palacz, ażeby kontrolę pociągu utrzymać w swoich rękach. Jadąc bardzo powoli, pociąg minął szczęśliwie pierwszy spad przed Saint-Michael. I hamulece dotąd działały jeszcze bez zarzutu— ale teraz stała się rzecz straszna: hamulce nagle odmówiły posłuszeństwa i w krótkim czasie pociąg nabrał ogromnego rozpędu i z zawrotną szybkością stoczył się w dół. Początkowo zegar wskazywał 120 kilometrów, potem 150 i jeszcze więcej. Katastrofa była nieunikniona.

Pędząc z szaloną szybkością na pokrytych lodem szynach, pociąg zbliżał się do niebezpiecznego zakrętu. Tu nastąpił silny wstrząs i maszynista jak i palacz poczuli, że lokomotywa odłączyła się od pociągu i sama pędziła ku dolinie. Wagony drewniane natychmiast wyskoczyły z szyn i rozbiły się o skałę, po czym wraz z żołnierzami runęły w przepaść.

Zaalarmowani mieszkańcy osiedla Saint-Michael przez całą noc brali udział w pracach ratowniczych. Nie dużo jednak osób można było uratować. Pociąg, uderzając z ogromną siłą o ścianę skały, rozbił się niemal doszczętnie, a resztę spustoszenia dokonała eksplozja granatów i innej amunicji, znajdującej się w pociągu. Ogółem zginęło w tej największej katastrofie 660 dzielnych żołnierzy, którzy poprzednio stoczyli już nie jedną ciężką walkę.

Wiadomość o tej katastrofie przez 20 lat trzymano w ścisłej tajemnicy. Dopiero niedawno uchylono rąbek tajemnicy. Wiedziały o niej jednak członkowie rodzin tragicznie zmarłych w katastrofie, którzy rok rocznie odbywają pielgrzymki do małej mieściny alpejskiej, w której w międzyczasie ustawiono pomnik ku czci ofiar katastrofy. Pułkownika, ponoszącego odpowiedzialność za katastrofę, gdy wydał rozkaz do wyjechania pociągu, nie można było stawić przed sąd, sam bowiem znalazł śmierć w katastrofie. Maszynistę i palacza natomiast sąd uwolnił, gdyż byli niewinni i działali z rozkazu wojskowego.

Księża — wynalazcami

Wiele przedmiotów codziennego użytku zawdzięczamy duchownym

Działalność duchowieństwa katolickiego, zawsze zmierzało do rozwoju i podniesienia kultury wśród narodów. Na wieki bezsprzeczną pozostała opatrznościowa gospodarcza działalność Cystersów i kultura Benedyktynów. Benedyktyni wśród pyłu bibliotecznego przepisywali literę po literze z Liwiusza, Cezara, Cicerona i z innych, przekazując nam całą kulturę klasyczną. A ich książki to istne dzieła sztuki. Papieże zawsze byli prawdziwymi protektorami uczonych i artystów. Wiek w którym najbardziej kwitła wiedza, sztuka i literatura nazwano złotym wiekiem Leona X.

W dziedzinie wynalazków księża zajmują przed świeckimi pierwsze miejsce.

Zegarek, który nam oddaje wprost nieocenione usługi, wynalazł kronikarz kościelny Kassiodora w 505 r., a ulepszył go Gebert, późniejszy Papież Sylwester II. Pierwszy zega r astronomiczny wybudował w 1316 r. Opat Ryszard Wallimford.

Wielki i sławny ks. Mikołaj Kopernik śmiało postawił tezę, że słońce stoi, a ziemia obraca się około niego. — Lunetę i teleskop wynalazł Franciszkanin Roger Bacon ułatwiając tymi instrumentami rozwój astronomii. — Sikawkę do gaszenia pożaru skonstruowali Cystersi, a paryscy Kapucyni, aż do XVII wieku byli strażakami ogniowymi w tym mieście.

Okulary wynalazł Dominikanin Aleksander Spina. — Proch odkrył mnich Bertold Schwarz. — Również zakonnikom: Gui i Tegerussowi zawdzięczamy malarstwo na szkle, a Jezuicie Gawalieri polichromię.

W 1300 r. diakon Flawio Giola ulepszył znacznie kompas czyniąc w ten sposób podróże bezpieczniejsze. — Piorunochron nie został wynaleziony przez Franklina. lecz przez zakonnika Divitsch'a w 1754 r.

Pierwszego wzlotu w przestworza na 60 lat przed Mondgolfierym dokonał mnich Bernard Gusman wobec całego dworu portugalskiego. Ale o tym wypadku ludzie starają się nie pamiętać.

Mapę, którą posługiwał się Kolumb w swej ryzykownej podróży, skreślił zakonnik Fra Mauro.

Chininę odkrył w 1600 r. pewien Jezuita misjonarz stając się prawdziwym dobrodziejem całej ludzkości.

Przytoczone przykłady, chociaż nie wyczerpują olbrzymiego materiału, stwierdzają, że księża w swej pracy zawsze dążyli do rozwoju wiedzy, sztuki i postępu stając się prawdziwymi pionierami kultury.

Taniec wśród lwów

Sława za cenę życia

Żądza sławy popycha ludzi nieraz do czynów wręcz szalonych, zrodzonych jakby z obłędu. Dot akich zaliczyć należy produkcję tancerki Gladys Cote, które zakończyły się tragiczną jej śmiercią.

Gladys Cote była tancerką, której piękność podnosiły jeszcze jej tajemnicze, seledynowe oczy i niezwykły temperament. Ambicje jej artystyczne nie znały granic. Przed pół rokiem wymyśliła sobie coś, co Amerykę wprawiać miało w oniemienie. Zwróciła się mianowicie do pewnego pogromcy zwierząt i zaproponowała mu, że będzie tańczyć w klatce ze lwami. Pogromca przyjął propozycję.

Od trzech miesięcy Gladys Cote tańczyła swój szalony taniec w amerykańskich teatrach rewiowych. Produkcje jej odbywały się w obecności 12 lwów. Między nimi znajdował się „George", szczególnie złośliwy i niesforny okaz. Był on niejako partnerem tancerki. Najpierw przymilała i zalecała się do niego ruchami kotki, następnie zaczęła mu się psocić, wreszcie drażnić go aż do złości, a gdy zwierz wśród złowrogiego pomruku poczynał przybierać groźną postawę, zaczęła przed się nim w wdzięcznych ruchach tanecznych kołysać, niby barwny motyl.

Dla publiczności było to widowisko niezwykle drażniące, gdy młoda dziewczyna, gardząc zwykłymi przyborami pogromców, z niesłychanym wdziękiem drażniła instynkty tych drapieżników.

Gladys Cote osiągnęła, czego tak bardzo pragnęła: sławę. Mówiono i pisano o niej, nazywano ją „kobietą z bestią". Chociaż byli i tacy, co ją ostrzegali. Gladys śmiała się. Lubiła igrać z niebezpieczeństwem.

Niestety, przepowiednie zbyt wcześnie się spełniły. Nieszczęście stało się w teatrze Hipodrom w Baltimore. Miss Cote skończyła była właśnie swój taniec i zwracała się ku wyjściu klatki. W tej samej chwili odezwało się charczenie. Tancerka zrozumiała błyskawicznie grożące jej niebezpieczeństwo i rzuciła się na ziemię. W tej samej chwili w potężnym skoku „George" rzucił się na nią. Spadająca kurtyna zasłoniła publiczności dalszy przebieg tragedii. Błazen cyrkowy począł popisywać się swymi kawałami. Za sceną rozległ się przeraźliwy krzyk tancerki, ryki 12 krwiożerczych bestyj, strzały pistoletowe... Na widowni wybuchła panika.

Gdy lew rzucił się na tancerkę, pogromca usiłował go odpędzić nawoływaniem i strzałami. Daremnie. Drugi pogromca rzucił się na lwa i gołymi rękoma próbował oderwać paszczę bestii od ofiary. Dopiero po szeregu dalszych strzałów udało się uwolnić nieszczęśliwą tancerkę. Było wszakże już za późno. Rany były śmiertelne, tak iż tancerka zmarła w drodze do szpitala.

W klatce pozostał krwią zbryzgany welon, którym tancerka posługiwała się podczas swych produkcyj. Badania wykazały, że w welonie umieszczone były liczne, drobne sztyleciki. Przyczyna katastrofy była teraz jasna. Gladys Cote sztyletami tymi drażniła lwa do prawdziwej dzikości... Zdobyła sławę, ale kosztem życia.

---

stale, jak gdyby słowa te umiały powstrzymać wszelkie zło. Jednak nie na długo uchował ich los przed niebezpieczeństwem, gdyż nagle do uszu jej doleciało odległe wycie wilka. Przeszedł gwałtowny lęk jej serce i mrowia zimne oblały jej ciało. Wiedziała, co oznaczało to wycie. Konie też jak gdyby zrozumiały niebezpieczeństwo, bo samowolnie przyśpieszyły biegu. Andrzejowa zastygła w bezruchu, tylko uszy jej łowiły odgłosy, a serce biło gwałtownie. W tem tuż za pobliskim krzakiem zabłysły dwa czerwone światełka. — Jezus, Maria! — zakrzyknęła głośno z przerażenia i gwałtownie zaczęła potrząsać śpiącego za ramię.

— Wilki, słyszysz! Wilki!

Andrzej otrzeźwiał w oka mgnieniu.

— Wilki mówisz? — Nie potrzebował dalej pytać, bo sam zobaczył ogniste ślepia, migocące za krzakami przydrożnymi. Konie rżały trwożnie, potrząsając długimi grzywami.

— Bestie przeklęte! — wycedził przez zęby Andrzej. i zaczął wydobywać pośpiesznie spod siedzenia nabitą rusznicę. — Lejce, dzierz silnie! — krzyknął do żony — i uważaj, by konie nie wywróciły sań! Potem odwrócił się plecami do koni, położył na oparciu siedzenia lufę i czekał. O jakie dwadzieścia kroków za saniami biegła gromada wilków. Ciemne ich cielska wyraźnie odbijały się od jasnego podłoża. Przez chwilę trzymały się nieśmiało w pewnej odległości, potem jednak przysuwały się coraz bliżej. Na czoło gromady wysunął się duży samiec. Andrzej widział dokładnie długie, białe kły, wyglądające z półotwartej paszczy. Ręce drżały mu z niecierpliwości. A kiedy wilk już miał wskoczyć na sanie, nacisnął na cyngiel. Ogromny huk rozdarł powietrze i cielsko dużego samca runęło na ziemię, wilki zatrzymały się. Widząc zaś zamierającego przodownika, rzuciły się nań, by jego ciałem głód zaspokoić. Konie tymczasem sunęły jakby niesione skrzydłami, zarzucając siedzących śniegiem. Maciejowa popuściła lejce, by ułatwić im biegu i zaczęła się modlić. — Byle dojechać do zakrętu! — szeptała między słowami modlitwy, spodziewając trwożnie za siebie. Ale najpierw należało ominąć dużą zaspę śnieżną, która wysokim progiem przecinała drogę na wyrębie. Byle dostać się tam jak najprędzej i nie pozwolić okrążyć się z wszystkich stron! Wreszcie osiągnęli zaspę. Konie zaczęły utykać w głębokim śniegu, kolebiąc uciążliwie ciężkimi kadłubami. Tak samo sanie zaczęły przewracać się to w tę, to w drugą stronę. Wtem z tyłu dobiegła szara zgraja wściekłych rozbójników. Śmielsze już, podrażnione smakiem za nowymi ofiarami, zaczęły wilki zbliżać się tuż do sań i wdrapywać się z wszech stron na nawieje śnieżne, by skutecznym skokiem dostać się na kadłuby końskie i do środka sań.

Andrzejowa, sztywna z przerażenia, zaczęła głośno płakać. Andrzej nie tracił tymczasem żadnej sekundy. A ponieważ myśliwym był zawołanym, tępił trafnymi strzałami najbliższych i najgroźniejszych. Stanął na chwiejnych saniach, by mieć lepsze pole strzału, i jak niedźwiedź niepokonalny odgryzał się od nieustępliwych napastników.

Kto wie, jak skończyłaby się groźna przygoda, gdyby nie ukazały się w tej chwili inne sanie, oświetlone czerwonym światłem licznych pochodni.

— Odsiecz! — krzyknął uradowany Andrzej, zobaczywszy łunę czerwonego światła, i zamiast w cielsko wilka. w powietrze skierował ostatnią kulę na cześć wybawicieli.

Na widok czerwonych płomieni wilki cofnęły się trwożnie. Andrzejowie byli uratowani a niecierpliwie wyczekujące dzieci zobaczyły swych rodziców zdrowych.

Jak to królewna angielska

przepędziła „duchy" ze starego zamczyska

Z najciemniejszych zakątków wyobraźni, leżących gdzieś pomiędzy radością bajek a obawą przed tajemniczą rzeczywistością, urodziły się „duchy". Zaludniły stare zamczyska, opuszczone domy, zamieszkały stare strychy, zapomniane, oplecione pajęczyną piwnice. Niesamowite, bezcielesne postacie, dzwoniąc kajdanami, przemykają się po pustych komnatach, pokutując może za jakieś grzechy, nie znajdując może spokoju po niedokonanych pianach żywota ziemskiego. Kiedyś „duchów" było „więcej". Niemal każda okolica miała swój „dom, w którym straszy". Ale widocznie jakaś epidemia padła na te dusze pokutujące, może wygoniła je z ich siedlisk odwiecznych ludzka trzeźwość i sceptycyzm. Zachowały się jeszcze w zadziwiająco wielkiej ilości i to w tak trzeźwym — zdawałoby się — kraju, jak Anglia.

Do prawdy jest rzeczą zastanawiającą, jak wielka ilość Anglików do dziś dnia wierzy w duchy, jak wielką poczytność mają w kraju mgły pisma okultystyczne i jak wielkie powodzenie — towarzystwa spirytystyczne. W samym Londynie istnieje 300 takich klubów. — Każdy księgarz londyński potwierdzi, że książki o duchach i o okultyźmie sprzedaje się najlepiej.

Być może współdziała tu niesamowity nastrój mgły, odbierający wzrokowi moc i obiektywizm. Być może, że działa tu też surowa, ponura powaga krajobrazu szkockiego i wielka ilość starych opuszczonych zamczysk, — wspartych grubymi murami o wyniosłe omszałe skały.

Nie jest też przypadkiem, że „duchy" przygotowują swe występy właśnie na czas nocy najciemniejszych i najdłuższych.

Wówczas w starych szkockich i walijskich zamczyskach straszyć poczynają duchy poważne i dostojne. Są to na ogół postacie historyczne, wokół których oplotły się dzieje tragiczne, krwawe. — Pokutują po śmierci za swe grzechy.

Straszy więc podobno w Windsor Castle, pałacu windsorskim. Chodzić tam ma po krużgankach w długie noce zimowe duch Karola I, ściętego przez Cromwella w r. 1649. Widziała go podobno cesarzowa Fryderyka, matka Wilhelma II, kiedy raz na zamku windsorskim spędziła niespokojną noc.

Istną „wylęgarnią duchów" jest oczywiście Tower londyński, stara cytadela, gdzie zostały stracone najznakomitsze osobistości starej Anglii. Tam utraciły głowę: piękna Anna Boleyn, Tomasz Morus, Cromwell, królowa Katarzyna Howard i wielu, wielu innych. Słychać tam pono, jak się drzwi z hałasem zamykają i otwierają, słychać jakieś jęki, dźwięk łańcuchów, huki i hałasy.

Co prawda ostatnio ucichły jakoś opowiadania o duchach w Tower, szczególnie od czasu, gdy za opłatą 6 pensów ciekawy turysta może oglądać wszystkie zakamarki Toweru, w których straszy.

Inną postacią ukazywania się ducha jest t. zw. „radiant boy", świecący się chłopiec, którego podobno widziano na zamku Chillianham i w zamku Corby. Lord Castlereagh, angielski minister spraw zagranicznych za czasów napoleońskich opisuje go jako nagą postać otoczoną wieńcem promieni, oświetlających jasno pokój.

Najsłynniejszym jednak z wszystkich zamków, w których straszyło, był Glamis Castle. Jest to przeszło tysiącletni budynek, dawniej siedziba książąt Yorku. Tam zamordowano króla Duncana. Tam podobno każdego wieczoru ujrzeć można, jak jeden z byłych właścicieli zamku — duch oczywiście — gra z jakimiś dwoma zaświatowymi indywiduami w karty. Popełnił on kiedyś tchórzliwe morderstwo przy grze w karty i za to aż do dnia sądu ostatecznego musi co noc rozgrywać tę samą partię od nowa. — Straszna kara dla zapalonego brydżysty...

Śmiejemy się z tych zabobonów. Jest jednak to co najmniej dziwne, że król angielski otrzymał petycję podpisaną przez 100 obywateli angielskich z prośbą, by kazał zniszczyć Glamis Castle i wypędzić duchy z okolicy.

Reakcja króla była dość szczególna. Posłał do Glamis Castle... własną córkę Elżbietę na wakacje letnie i gdy tylko w pustych zimnych salach rozległ się niewinny śmiech dziecka — „duchy" znikły raz na zawsze! Nawet ich najwierniejsi wyznawcy nie mogą dostrzec nic podejrzanego w starym zamku.

Zwykły radosny śmiech zdaje się być najgroźniejszą bronią przeciwko „duchom" i wszelkim mieszkańcom ciemności.

Niezwykły lot przed ćwierć wiekiem

W lokalach Instytutu Smitsonianskiego, słynnego amerykańskiego zakładu naukowego, wystawiono niedawno stary i silnie poturbowany samolot. Grat ten, pochodzący z zakładów braci Wright, przypomina zamierzchłe czasy początków lotnictwa, a wystawiono go z okazji 25-lecia niezwykłego jak na one czasy, choć dziś już zapomnianego wyczynu.

Było to w roku 1912, kiedy znalazł się szaleniec, zamierzający dokonać pierwszego w historii lotnictwa przelotu transkontynentalnego z Nowego Jorku do Long Beach (dzisiejszego Los Angeles). Nazywał się G. P. Rodgers, i choć zapewne był ryzykantem to jednak trudno twierdzić, aby miał źle w głowie. Chodziło mu po prostu o... sto tysięcy dolarów, wyznaczonych jako nagrodę przez „króla prasy" Hearst'a za pierwszy przelot z zachodniego do wschodniego (lub odwrotnie) wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

Lotnictwo było wówczas lepszą akrobatyką. Szkół lotniczych w dzisiejszym pojęciu nie było, a nabywca samolotu radził sobie z nim tak jak umiał. Dwa, trzy krótkie loty pasażerskie, potem garść „wskazówek praktycznych", oto wszystko i tak, po półtora godzinnym „wykształceniu", Rodgers stał się „samodzielnym pilotem" i rozpoczął lot poprzez kontynent.

Dopóki samolot znajdował się w powietrzu, sprawy szły nie najgorzej i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie starty i lądowania. Busole lotnicze, mapy lotnicze i inne pożyteczne instrumenty pokładowe były rzeczami nieznanymi, aby więc nie stracić kierunku Rodgers leciał wzdłuż torów kolejowych. Znalezienie miejsca do lądowania było kwestią czystego przypadku, bo i o lotniskach nikt jeszcze wówczas nie myślał. Za to wszędzie, gdzie Rodgers lądował — dobrowolnie czy też przymusowo — zbiegali się ludzie a niejeden bogobojny farmer uważał za swój święty obowiązek przemówić do sumienia „pomyleńcowi, który na bluźnierskiej zabawce kusi Pana Boga".

„Wypadki" potoczyły się szybko, już bowiem pierwszego dnia samolot przy lądowaniu uderzył o drzewo i spadł z wysokości 20 m mocno nadwyrężony. Pilot zranił się lekko, lecz niebardzo się tym przejął, bo już w kilka dni później „załatwił" następną kraksę, zaplątawszy się przy lądowaniu w płocie z drutu kolczastego. Podobne wypadki zdarzały się często przy lądowaniu, a także przy starcie z racji licznych niedomagań silnika. Konstrukcja ówczesnych samolotów była, na szczęście Rodgersa, bardzo prymitywna, toteż po najgorszej nawet kraksie maszynę można było w przeciągu doby wyremontować i przygotować do dalszego lotu, tym bardziej, że wzdłuż całej drogi towarzyszyła lotnikowi... lokomotywa z wagonem towarowym pełnym części zapasowych i wagonem mieszkalnym dla mechaników. Tak więc Rodgers leciał nieustraszenie dalej i dalej, wychodząc zawsze cało z licznych katastrof, aby dopiero tuż przed samym celem, w Pasadenie, znaleźć się na miesiąc w szpitalu.

Po trzydziestu dniach — taki bowiem był czas okres wyznaczony przez Tearst'a dla przelotu — Rodgers odbył dopiero połowę drogi, nie było więc mowy o otrzymaniu nagrody i mógł był zrezygnować z dalszego lotu. Przelot zyskał jednak już taki rozgłos, że pewien fabrykant limoniady ofiarował się z finansowaniem dalszego lotu, pod warunkiem nalepienia na skrzydłach samolotu jego plakatów reklamowych. Z tą chwilą lot rekordowy zamienił się na lot reklamowy.

O ogólnych kosztach tego przedsięwzięcia nie ma dokładnych wiadomości, były one jednak niemałe, licząc chociażby pociąg specjalny i mechaników, a podróż tę można było w pojeździe konnym odbyć zapewne, szybciej, taniej i bezpieczniej.

Cały przelot o ogólnej długości 6 900 km trwał 84 dni (dziś 9 godzin i 25 min.) Lotnik odbył go w 69 etapach z 15 — nie licząc drobnych wypadków — z poważnymi kraksami, a po przybyciu do celu jedynymi częściami samolotu nieuszkodzonymi i nienaprawianymi był ster wysokościowy i dwie rozpórki skrzydeł. Czas lotu wynosił 4925, co daje szybkość przeciętną 78 km/godz. Najdłuższy etap wynosił 2 godz. 40 min. wzgl. 425 km. Wyniki, jak na owe czasy niezwykłe nie przyniosły Rodgersowi ani chwały ani też pieniędzy, oddał jednak lotnictwu wielką przysługę, zwracając na nie uwagę najszerszych kół.

Wojna chemiczna w świecie zwierząt

Wielki wynalazca Leonardo da Vinci twierdził, że wszystkie wynalazki i narzędzia, stworzone przez człowieka, znajdują swój pierwowzór w przyrodzie. Istotnie! Przecież nauczyliśmy się latać i nurkować, gdy dokładnie przestudiowaliśmy życie ptaków i ryb. I również używamy podczas wojny podobnych środków obronnych i zaczepnych, a więc bomb, gazów i zadymek, jak niektóre zwierzęta.

Przypatrzmy się zatem wojownikom ze świata zwierząt i ich metodom walki! Do ogólnie nam znanych należy mały pociesznу chrząszczyk, zwany bombowcem. W niebezpieczeństwie opryskuje on swego wroga żrącą cieczą, która na powietrzu wybucha z małym hukiem, jak nasze bomby gazowe. Czy więc nie jest on dobrym miotaczem bomb gazowych?

Pewnego rodzaju zaś iperytem rozporządzają inne owady, zwane pospolicie muchami hiszpańskimi. Ciecz, którą w niebezpieczeństwie wydzielają ich nogi, a która jest tak ostrą, że na skórze ludzkiej wytwarza pęcherze, nazywamy kantaridiną. Plyn ten, czy też starte ciało much hiszpańskich używa się w medycynie, jako plastra leczniczego.

Trudno wyliczyć wszystkie owady, które w podobny sposób walczą, czy się bronią, bo jest ich cały szereg, chociażby z rodzaju biegaczy czy mlotów lub nawet spośród szarańczaków czy też mrówek. Wymienić jednak wypada ze swiata owadów mrówkolwa, który nie wyrzuca wprawdzie żrących cieczy, a tylko bombarduje i zasypuje swą zdobycz ziarnkami piasku.

W Afryce żyje dużo jadowitych węży, których ukąszenie powoduje śmierć, albo długotrwałą chorobę. Żyje tam też oryginalny gad, którym jest Naja nigricollis, a oryginalny dlatego, że truciznę swą potrafi wyrzucić nawet na odległość kilku metrów i trafić nią w oko przeciwnika. Węża tego obawiają się nie tylko Murzyni, ale i biali myśliwi, gdyż oko, trafione jego jadem spala się, albo też ulega ciężkiemu schorzeniu.

Wśród ryb znaleźć możemy dobrego strzelce w małej 20-centymetrowej rybce z Oceanu Indyjskiego, zwanej Toxotes jaculator. Ryba ta jednak śliną swą nie celuje w swego wroga, a tylko w owady, siedzące na przybrzeżnych roślinach, którymi się karmi. Sztukę tę wyzyskali Malajczycy w celach zarobkowych. Hodują bowiem ryby te w akwariach a na specjalnych popisach każą im się produkować.

Kto zwiedza ogrody zoologiczne i zbyt czule przemawia do lam, to zapoznać się może z ich strony z bardzo mokrą odpowiedzią, w postaci śliny. Mimo, że ślina lam nie uszkadza naskórka ludzkiego, to jednak jest nieprzyjemną ze względu na jej zapach.

W północnej Ameryce żyje cenne zwierzę futerkowe, zwane skunksem, które, nie obawia się najdrapieżniejszego nawet wroga. A to dlatego, że nieocenioną bronią jego jest znowu pewna żrąca i o obrzydliwym zapachu wydzielina, którą w formie deszczu wystrzykuje na przeciwnika ze specjalnych gruczołów. Czy i podobnie cuchnących płynów nie używamy w rozmaitego rodzaju bombach, podczas wojen, czy rozruchów?

Wspominaliśmy, że zwierzęta w walce posługują się pewnego rodzaju zasłoną dymną. Oto przykład. Kto by nie słyszał o morskim potworze z długimi ramionami, uzbrojonymi w setki przyssawek, a który jest postrachem nurków i poławiaczy pereł! To ośmiornica. I dziwne, że takim potworom, które tak czy tak mają niepoślednią broń w swych ramionach czy dziobie, którym wstrzykują truciznę do oskrzeli swych zdobyczy, natura jeszcze darowała środek obronny, którym jest specjalny woreczek z ciemnym barwnikiem. Toteż w razie niebezpieczeństwa ośmiornica skrzętnie korzysta z tego daru, wyrzucając barwik do wody i tworząc przez to zadymkę, która jest podobna do używanych obecnie w wojnie. Barwik ośmiornicy jest tak trwały, że resztki jego, znalezione w prastarych skamielinach jurajskich, dziś jeszcze zużyć możemy do wyrobu farb malarskich. Przez zmącenie dna osłaniają się także przed swymi wrogami niektóre z naszych ryb.

Z roślin, które bombardują, wymienić moglibyśmy kilka gatunków. Zatrzymamy się jednak przy małym grzybku, zwanym Pilobolus cristallinus. Jego bomby są jednak nieszkodliwe, bo nie służą mu ani w celach obrony ani ataku, a tylko przy rozsiewaniu zarodników.

Wymienić moglibyśmy setki innych sposobów, jakimi zwierzęta się bronią za pomocą wydzielania trucizn ze swego ciała. Podaliśmy jednak w artykule niniejszym tylko te sposoby walki zwierząt, które zbliżają się do metod, używanych w wojnie dzisiejszej. I w świecie zwierząt znajdziemy miotaczy bomb i min, oraz świetnych strzelców.



Na zdjęciu naszym duży lej, który powstał w dniu 15 b. m. w Chorzowie na placu Kopernika obok szpitala miejskiego, na skutek zawalenia się ganków podziemnych. Lej jest głęboki 8 metrów i obejmuje przestrzeń około 18 mtr. kw. Plac Kopernika jest położony w centrum miasta Chorzowa, liczącego dziś około 10 tys. mieszkańców.